Rok XV. Warszawa. Maj. 1926.

PRĄD

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM RELIGIJNYM
NARODOWYM I SPOŁECZNYM.

WYCHODZI NA POCZĄTKU KAŻDEGO MIESIĄCA.

WARUNKI PRZEDPŁATY W POLSCE:	ROCZNIE	.....	24 ZŁ.
„ „ „	PÓŁROCZNIE	....	12 „
„ „ „	KWARTALNIE	...	6 „
„ „ ZAGRANICĄ:	ROCZNIE	.....	4 DOLARY.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Krakowskie-Przedmieście Nr. 7, m. 15-a otwarte codziennie od 12—3 po poł. Tel. 86-21. Konto czekowe w P. K. O. 43-80.

RELIGJA I NARÓD.

Wstęp. — Zagadnienie religijne. — Religja w życiu jednostki. — Religja w życiu narodu. — Religja i państwo. — Zakończenie. — Katolicyzm i polskość.

WSTĘP.

Wśród prawd, jakiemi żywi się dusza ludzka, są takie, co z czasem więdną niby kwiaty, rdzewieją jak żelazo, psują się i nikną bez śladu; ale są i takie, które wiecznie żyją, zawsze lśnią jak złoto, promienieją w duszy ludzkiej, niby słońce, prowadząc człowieka drogą prostą w ciemnościach i niebezpieczeństwach życia. Do takich prawd wiecznie żywych należą dobrze nam znane, mianowicie: jest Bóg, który stworzył wszechświat i człowieka, powtóre — Bóg ten jest sprawiedliwym bytem, nagradzającym uczynki dobre, a karzącym złe. Przekonywa nas o tem rozum, głos naszego sumienia, doświadczenia życiowe jakoteż dzieje ludzkie.

I nikt nie wątpi o tych prawdach; tylko nie wszyscy wyciągają z nich należyte wnioski praktyczne. Wielu z pośród nas nie zastawia się nawet nad

pytaniem: co człowiek winien Bogu, co naród cały i państwo winno Panu swemu za tyle przezeń świadczonych dobrodziejstw? Jakie względem Boga ma obowiązki każdy człowiek, całe społeczeństwo i tego społeczeństwa uosobienie czyli państwo albo — jak zwykle mówimy — rząd? Jak trzeba wykonywać je rozumnie, iżby spełnić swą powinność względem Stwórcy za dary codzień od niego otrzymywane?

Na te pytania postaramy się odpowiedzieć w pracy niniejszej.

RELIGJA W ŻYCIU JEDNOSTKI.

Wszystkie obowiązki, jakie człowiek ma względem Boga, zawierają się w jednym wyrazie „religja". I rzeczywiście religja nie jest niczem innem, tylko stosunkiem między Bogiem a człowiekiem, podobnie jak widzimy codzień między ojcem a dzieckiem. Stosunek ten jest przedewszystkiem wolny, bo wypływa z wolnej woli człowieka, a nie z przymusu; gdyby dziecko okazywało miłość rodzicom z musu, to by nie miało szczerej dla nich miłości w sercu; a i Bóg od ludzi nie odbierałby czci należnej sobie, gdyby ją człowiek z przymusu oddawał. Nadto stosunek Boga do człowieka jest skuteczny, dla nas ogromnie pożyteczny, albowiem przez ten stosunek czyli przez religję łączymy się z Tym, który jest samem Dobrem, Prawdą i Pięknem; łączenie się częste z tem dobrem, prawdą i pięknem, polepsza nas, przemienia i doskonali.

Ale słowo „religja" nie odrazu da się pojąć. Trzeba przyjrzeć mu się z wielu stron, wówczas dopiero je zrozumiemy. Najpierw religja jest uczuciem, bo czujemy to wszyscy, że ponad nami jest jakaś wyższa Siła, rządząca wszechświatem, a uczucie to najgłębsze ze wszystkich uczuć, jakie mamy w duszy naszej. Mówią o tem lekarze i spowiednicy, obsługujący ciężko chorych i konających, twierdzą również uczeni psychologowie, że człowiek przy śmierci lub w niebezpieczeństwie życia ma tylko jedno uczucie w duszy to uczucie względem Boga jak dziecko względem ojca. Przywiązanie do rodziny, do żony, dzieci, przyjaciół, do majątku ustępuje miejsca uczuciu względem Boga.

Ale to uczucie chwilowe samo jeszcze nie jest religją; ono musi być trwałem czyli musi być cnotą, jakby dobrym nałogiem, skłaniającym ciągle człowieka do oddawania czci Bogu. Lecz i takie rozumienie religji nie wystarcza do zupełnego jej pojęcia. Religja bowiem nie tylko pochodzi z serca człowieka, ale przedewszystkiem z myśli Bożej, składa się z tych prawd, jakie Bóg podał człowiekowi do wierzenia. Owszem, do należytego zrozumienia religji trzeba jeszcze przyjrzeć się z kilku innych stron: ze strony wewnętrznej i zewnętrznej, ze strony przyrodzonej i nadprzyrodzonej; dopiero potem będziemy mieli właściwie, pełne zrozumienie religji.

Jako cześć wewnętrzna, w duszy naszej Bogu wyrażana, religja zawiera w sobie niewidzialne stosunki duszy z Bogiem, czyli akty wewnętrzne, jak np. kiedy uwielbiamy wielkiego Stwórcę wszechświata, albo kiedy mu wypowiadamy wdzięczność myślą tylko za dobrodziejstwa otrzymane, albo wzbudzamy w sobie akty miłości, pokory i t. d. Kiedy zaś wypowiadamy te hołdy nazewnątrz przez słowa modlitwy, śpiewu, przez przyklękanie, znak krzyża i t. p., wtedy wykonywamy cześć zewnętrzną Stwórcy.

Ważnem jest rozróżnienie religji przyrodzonej i nadprzyrodzonej. Wytłomaczymy to dobrze. Znać, kochać i czcić Boga stanowi cel ostateczny człowieka. Zaś dać poznać, sprawić, aby kochano i czczono Stwórcę, stanowi cel religji. Otóż Bóg może objawić się człowiekowi dwojakim sposobem: pośrednio — przez widok świata stworzonego, i bezpośrednio — w samym sobie. Wyjaśnimy obadwa sposoby.

Kiedy my, przyglądając się pięknemu dziełu Boga, jakiem jest wszechświat, przezeń stworzony, wznosimy się myślą i sercem od tego świata widzialnego do Przyczyny jego niewidzialnej; kiedy podziwiamy potężnego Mistrza, który wydał ten wszechświat, a w nas samych wykazał arcydzieło swej dobroci, wówczas to widzenie pośrednie Boga poprzez mgłę stworzenia, a przy świetle naszego rozumu, ta nasza miłość dla owej Przyczyny, dla owego Początku wszechrzeczy, te hołdy wewnętrzne uwielbienia i wdzięczności, jakie Mu w duszy oddajemy, stanowi właśnie religję przyrodzoną. Taki stosunek duszy naszej do Boga nazywamy religją przyrodzoną, ponieważ możemy utrzymać ten stosunek siłami tylko natury naszej.

Ale kiedy Bóg raczy powołać nas do poznania Go nie tylko tak, jak poznajemy talent artysty przez badanie jego dzieła, lecz poznając go w Nim samym, w jego życiu wewnętrznem; kiedy chce On byśmy Go kochali nie tylko miłością, pochodzącą z widoku rzeczy przez niego stworzonych, ale i miłością, pochodzącą z rozważania Jego Samego, kiedy żąda od nas, byśmy utrzymali z Nim stosunek dziecka do ojca; kiedy wówczas zniża się do nas, objawia nam swem słowem, kim On jest sam w sobie; wówczas to całość tych stosunków oraz środków nam danych do utrzymywania takich stosunków stanowi właśnie religję nadprzyrodzoną. A nazywa się taka religja *nadprzyrodzoną* dlatego, że przechodzi ona przyrodzone siły natury naszej. Zatem religja przyrodzona pochodzi z natury naszej rozumnej, czyli stąd, że mamy rozum, którym poznajemy Boga; religja zaś nadprzyrodzona jest darem darmo nam danym od Boga, uczestniczeniem w życiu bożem. I co jeszcze należy zauważyć, to fakt, że religja przyrodzona stanowi podłoże nadprzyrodzonej, które tamtej bynajmniej nie niszczy, lecz ją udoskonala, uszlachetnia, wieńczy.

Kiedy poznaliśmy więc, czem jest i jaką jest religja, to możemy teraz już twierdzić, że przez praktykowanie tak właśnie rozumianej religji ma człowiek spełniać swą powinność względem Boga.

Skąd wiemy, że ta powinność ciąży na człowieku? Przekonywa nas o tem rozum i doświadczenie. Rozum przecie poucza nas, że Bóg jest początkiem, z którego wyszliśmy i końcem ostatnim, do którego dążymy; On naszym Stwórcą, my — jego stworzeniem. Zatem przez religję, przez czynności religijne łączymy się z tym naszym początkiem i tym naszym końcem. I dlatego to sam nawet wyraz „religja" zawiera w sobie tę właśnie względem Boga powinność naszą, albowiem pochodzi on od słowa łacińskiego „religare", co znaczy „wiązać", „łączyć"; religja zatem dosłownie znaczy po polsku „łącznik", „związek" z Bogiem.

Rozum też mówi nam, że Bóg jest panem najwyższym, gdyż wszystko stworzył i nad wszystkiem panuje. Człowiek zaś jest nieustannie zależnem od Niego jestestwem, sługą mizernym. Tam zaś, gdzie jest słuszna i szczególna racja panowania, musi być słuszna i szczególna racja służenia. Zatem, człowiek winien jest Bogu, jako panu, od którego co chwila zależy, cześć należną.

I doświadczenie mówi nam wyraźnie o tym obowiązku. Historja wszystkich ludów potwierdza tę prawdę. Otwórzmy historję i czytajmy ją, a nie znajdziemy w przeszłości ani jednego narodu, któryby nie miał swej religji. Wszyscy prawodawcy i założyciele państw uważali za konieczne do pomyślnego i trwałego istnienia narodu skłonić podwładne im ludy ku czci względem bóstwa. Do tego dążył wedle świadectwa historji—Likurg w Sparcie, Solon w Atenach, Pitagoras w Krotonie, Architas w Tarencie, Numa w Rzymie, Konfucjusz w Chinach, Manko-Kapak w Peru, Mahomet w Arabji, nawet Dżingis-han u Tatarów. Co więcej, sławny filozof i historyk grecki Plutarch (I wiek po Chr.), twierdzi, że łatwiej byłoby założyć miasto w powietrzu niż utworzyć jakieś społeczeństwo bez religji. Arystoteles, filozof grecki (IV wiek przed Chr.) uważa cześć bożą za pierwszą z pośród sześciu głównych spraw, bez których lud istnieć nie może. To przekonanie było w starożytności tak powszechne, że, jak pisze pewien historyk, Messeńczycy, poznawszy z doświadczenia, że epikurejczycy (uczniowie myśliciela Epikura) psują młodzież i demoralizują społeczeństwo bezbożnością i złemi obyczajami, wyrzucili ich ze swych granic, nakazując po ich wyjściu oczyścić miasto.

Zgodnie z takim poglądem ludów starożytnych o konieczności religji dla człowieka widzimy, że wszystkie ich urządzenia społeczne i polityczne były głęboko przepojone religijnością. Świadczą o tem gmachy, jakie zostały po tych narodach. Najpiękniejszym gmachem w Atenach była świątynia (Partenon). Wszędzie ponad pałace i gmachy, gdzie toczyły się narady polityczne, ponad trybunały sądowe, ponad teatry — wznosiła się świątynia, czczona jako przybytek bóstwa, jako świętość narodu. To samo widzimy i u ludów, które zaledwie rozpoczynały

swe życie polityczne, były na niskim stopniu kultury, nie miały one jeszcze trybunałów, ani teatrów, a już posiadały ołtarze, uroczyska lub świątynie.

Podobnie dzieje się i u dzisiejszych ludów dzikich: urządzenia ich, zwyczaje i praktyki wskazują, że spełniają one powinności religijne względem bóstwa. Zarówno wśród dzikich zupełnie ludów jak i wśród cywilizowanych, tak na dalekich wyspach, jak i na lądach stałych, w najbardziej zarzuconych zbiorowiskach ludzkich jak i po bogatych miastach, słowem po wszystkich zakątkach ziemi, dokąd tylko dotarła stopa podróżnika czy misjonarza, spotyka się jakaś świątynia, miejsce, na którem zbierają się ludzie celem uczczenia bóstwa, złożenia mu ofiary. A ten przejaw uczucia religijnego, obserwowany u wszystkich bezwzględnie ludów, jest powszechnym i stałym. Dowodzi on, że człowiek sercem swem odczuwa tę konieczność służenia Bogu, oddawania Mu czci należnej. Dlatego to mędrcy starożytni nazwali człowieka „stworzeniem religijnem".

Wprawdzie historja i doświadczenie osobiste stwierdza, że panuje w pewnych czasach lub u pewnych osób niewiara, bezbożność; ale ta niewiara zjawia się tylko w okresie upadku narodu czyli w stanie chorobliwym życia narodowego, nie zaś w stanie normalnym, w stanie zdrowia. Zatem niewiara, bezbożność to zjawisko wyjątkowe, chorobliwe, a zatem przeciwnaturalne. Przytem wywołuje ona odstępstwa pojedyńcze, jednostkowe; nigdy zaś nie wydarzyło się w dziejach jako wyraz uczuć całego narodu, iżby cały naród żył bez Boga.

Z powyższego tedy wyprowadzamy wniosek, że natura człowieka ze swej istoty jest religijną, że człowiek czuje potrzebę Boga tak, jak potrzebę chleba, że przykłady bezreligijności czyli próby uchylenia się od obowiązku czci Bożej są tylko wyjątkami, które potwierdzają powszechną prawdę o potrzebie religji dla człowieka i wskazują u człowieka tylko to, iż może on nawet w sprawach religji nadużywać swej wolnej woli.

Powstaje teraz pytanie, jak należy spełniać obowiązek czci względem Boga? Odpowiadamy, że czcić należy Boga nie tylko wewnętrznie, ale i zewnętrznie, zarówno przez religję przyrodzoną, jak przedewszystkiem przez nadprzyrodzoną.

Niektórzy ludzie chcieliby odrzucić wszelką cześć zewnętrzną i nadprzyrodzoną religję, jako niepotrzebną, a nawet zabobonną; natomiast mówią, że wystarczy czcić Boga tylko myślą i uczuciem. „Nie potrzeba — mówią oni — żadnej świątyni, żadnego kościoła, ani księdza, bo ja w sercu mam świątynię i sam w niej odprawiam sobie nabożeństwo". Jest to prosty wykręt, jakim posługują się ludzie nierozumni. Zarówno cześć wewnętrzną jak i zewnętrzną nakazuje człowiekowi zdrowy rozum tudzież doświadczenie wszystkich ludów i wszystkich wieków.

Rozum poucza nas, że winniśmy składać Stwórcy hołdy całem naszem jestestwem, zarówno duszą jak i ciałem, bo z tych dwu części składa się człowiek stworzony przez Boga. Przeto obowiązkiem człowieka jest znać i rozpoznawać

Boga myślą, miłować Go sercem, służyć mu też ciałem. Dlaczegożby ciało nie miało przyczyniać się łącznie z duszą do oddawania Bogu czci należnej przez czynności i znaki zewnętrzne, widzialne? Jeżeli mówimy, że jesteśmy ludźmi, przez Boga stworzonymi, to przez te słowa wyrażamy prawdę, że dał nam Bóg zarówno duszę jak i ciało, a więc jedno i drugie winno za to wyrażać Stwórcy wdzięczność.

Pamiętajmy przytem, że cześć zewnętrzna jest konieczną do tego, by wyrazić należycie cześć wewnętrzną. Niewątpliwie, każde szczere przekonanie, wszelkie wewnętrzne uczucie dąży do uzewnętrznienia się, ponieważ istnieje ścisły związek między uczuciami duszy a uzewnętrznieniem ich przez zmysły człowieka. Takie już jest prawo natury ludzkiej. Spełnia je dziecko względem rodziców, gdy dla wyrażenia im wdzięczności lub miłości składa na ich ręku pocałunek, tuli się do matki, obejmuje uściskiem ojca; spełnia je czułe serce ludzkie względem ubogiego, kiedy podaje mu jałmużnę, niesie pociechę słowem dobrem. Jakże inaczej wyrazić uczucie duszy, jeżeli nie przez znaki i czyny zewnętrzne?

A kiedy idzie o wyrażenie najgłębszego uczucia człowieka, jakiem jest uczucie religijne względem Boga, to wówczas tembardziej czuje się potrzebę ujawnienia go nazewnątrz i to nie tylko samemu u siebie, prywatnie, w domu, ale wespół z innymi ludźmi, iżby ta cześć silniej i godniej była zaznaczona dla tak wielkiej Istoty, jaką jest Bóg. Jest to niepokonalna dążność natury ludzkiej.

Wreszcie i o tem pamiętać trzeba, że cześć zewnętrzna podsyca i podtrzymuje cześć wewnętrzną. Każde uczucie ludzkie żyje z własnego swego wylania. I jeżeli nie może ono wyrazić się nazewnątrz, to gaśnie jak ognisko bez powietrza. Zapewne, że to dusza nadaje czynom naszym godność i wartość; ale ciało wykończa i określa te czyny. Tak więc myśli nasze byłyby niejasne i nieokreślone, gdyby nie ucieleśniała ich mowa. Wiele nauk pozostałoby nieznanych, gdyby nie używano do nich figur, obrazów i znaków. Podobnie ma się rzecz i z religją. Bez czci zewnętrznej co to byłaby za cześć myślna, polegająca na nieokreślonych uczuciach względem Boga? Czyż mogłaby istnieć w społeczeństwie religja, gdyby nie ożywiała jej w czci publicznej, zewnętrznej modlitwa ustna, śpiew, przyklękanie, ceremonje i święta religijne? Nie, bez czci zewnętrznej i publicznej Bóg nie odbierałby czci należnej od ludzi; a człowiek nawet najbardziej inteligentny i wykształcony obejść się bez takiej czci nie może. Bo i największy genjusz ulega wpływowi zmysłów, używa znaków, symbolów. Człowiek tedy ma oddawać cześć Bogu nie tylko wewnętrzną, lecz i zewnętrzną.

Wreszcie czcić mamy Pana Boga nie tylko przez religję przyrodzoną, ale i przez nadprzyrodzoną. Owszem, religja przyrodzona bynajmniej nie wystarczy, iżby człowiek wywiązał się należycie z obowiązków względem Boga, ale powinien on czcić Stwórcę przez religję nadprzyrodzoną.

Religja z konieczności musi zawierać w sobie jakiś zasób prawd czyli dogmatów, kierujących umysłami ludzkiemi, i jakieś przepisy prawne, kierujące wolą ludzką. Otóż ci wolnomyślni, którzy uznają potrzebę samej tylko religji przyrodzonej, nie mogą się zgodzić, jakie to mianowicie dogmaty podaje ona do wierzenia i jakie przepisy spełniać nakazuje. Niema pod tym względem dwuch uczonych ludzi, którzyby zgodzili się na określenie: na czem polegają dogmaty i prawa religji przyrodzonej. A w takim razie czego ma się trzymać tymczasem całe społeczeństwo? w co ma ono wierzyć? jaką moralnością kierować się? w jaki sposób osiągnąć swe przeznaczenie?

Powtórzmy o religji przyrodzonej to, co powiedział o niej wolnomyślny Burnouf: „Fakty dowodzą, że religja przyrodzona nigdy nie mogła wejść w praktykę i stać się rzeczywistością. Nie wyszła ona poza granice książek i nauczania w szkole; a ponieważ jest ona ze swej istoty osobistą i ponieważ każdy stwarza ją dla siebie samego, według swej własnej filozofji, to niemożliwą jest rzeczą powiedzieć, czy wywarła ona jakikolwiek wpływ nawet na osoby poszczególne“.

Zatem religja wyłącznie przyrodzona jest niczem innem, jeno hypokryzją religji; jest ona religją tych, którzy chcą nosić jej maskę, a nie chcą spełniać jej obowiązków.

Tak wygląda religja przyrodzona.

Zobaczmy teraz, jak przedstawia się religja nadprzyrodzona.

Rodzaj ludzki zawsze wierzył w coś wyższego nad swą naturę, w coś wyższego ponad rozum. Kim był ofiarnik-kapłan u pogan, jeżeli nie człowiekiem, natchnionym przez bóstwo? czem była świątynia, jeżeli nie miejscem wyroczni? czemże był bałwan, jeżeli nie kamieniem, marmurem, drzewem, mówiącem mocą bóstwa? Wszystkie ludy wierzyły, że znają tajemnicę bożą w słowie objawionem. Niema religji, któraby nie twierdziła, że posiada księgi święte. Znajdujemy tedy księgę Zend-Awesta u Persów, Weda — u Indjan, King — u Chińczyków, Koran — u Arabów, Biblję — u Żydów, Biblję i Ewangelję — u Chrześcijan. Niema narodu, którby nie wierzył w to, że otrzymał z nieba jakąś moc tajemną, siłę bożą przez ceremonje święte, przez ofiary, przez oczyszczenie. Niewątpliwie, idea nadprzyrodzoności była często zepsuta, zmieniona, zniekształcona, sfałszowana; ale wszędzie odnajdziemy ją co do jej istoty, w tem, co ma ona podstawowego; a to właśnie dowodzi, że nadprzyrodzoność była pierwszym stanem życia ludzkiego.

Ale dopiero od czasów Chrystusa Pana nadprzyrodzoność zajaśniała w całym swym blasku i panuje nad światem. Któż to jest bowiem Jezus Chrystus, jak nie punkt styczny przyrodzoności z nadprzyrodzonością, jak nie ognisko, z którego żywioł boży promieniuje nad ludzkością? Od chwili przyjścia Chrystusa na ten świat najtęższe umysły zarówno jak i ludy najbardziej cywilizowane publicznie wyznawały, że jest on Bogiem; wierzyły i wierzą w nadprzyrodzone stosunki

człowieka z Chrystusem przez Sakramenty św. i ofiarę. Chrześcijaństwo jest niczem innem, jeno olbrzymim ciągiem dziewiętnastu wieków życia nadprzyrodzonego. Otóż wobec tego faktu powszechnego, publicznego, ciągłego, trwałego, co mamy wywnioskować, jak nie tę prawdę, że Bóg chciał dopuścić człowieka do uczestniczenia w swem własnem życiu? Jaki mamy wyprowadzić wniosek, jeżeli nie ten, że nadprzyrodzoność nie jest wymysłem, chimerą, jak wyrażają się nieraz zapaleńcy wolnomyślni albo ludzie umysłowo ograniczeni, lecz jest faktem rzeczywistym i stwierdzonym?

Przytoczmy tu piękne słowa myśliciela francuskiego, Guizot'a.

„Wiara w nadprzyrodzoność jest faktem naturalnym, pierwotnym, powszechnym w życiu rodzaju ludzkiego; po wszystkie czasy, w każdem miejscu, na wszystkich stopniach cywilizacji znajdujemy rodzaj ludzki wierzącym spontanicznie w pewne fakty, w pewne przyczyny, będące poza tą mechaniką żyjącą, która zowie się przyrodą. Napróżno rozciągają, tłomaczą, wysławiają przyrodę, instynkt mas ludzkich nigdy się w niej nie zawarł, lecz zawsze szukał i widział coś ponad nią. I to właśnie tę wiarę instynktowną, a dotąd niedającą się zgładzić, ten fakt powszechny a ciągły dziejów ludzkich starają się zniszczyć. Co za głupota ludzka! Że w jakimś zakątku świata, w jakimś momencie dziejów zwalczono nadprzyrodzoność, to ogłasza się ją za całkowicie pokonaną! Zapoznaliście zupełnie ludzkość i jej historję".

RELIGJA W ŻYCIU NARODU.

Podobnie jak człowiek oddzielny, tak i naród cały ma obowiązek składania czci Bogu. Naród bowiem nie jest jakimś bytem tylko w myśli naszej będącym, jakiemś nieuchwytnem jestestwem, ale jest on bytem zupełnie rzeczywistym, prawdziwym. Rodzi się on, jak i człowiek poszczególny, rozwija się wedle praw przyrodzonych, przechodzi lata zdrowia, ale i choroby, podnosi się i znowu upada, jednem słowem naród jest ciałem odrębnem wprawdzie od ciał innych, ale jest tem wielkiem ciałem zbiorowem, które żyje, ma swe cele, pragnienia, działalność i przeznaczenie na ziemi. Jest on więc, jak i każdy człowiek, jak każda rodzina, tworem Bożym, powołanym do życia i utrzymywanym przy życiu przez Boga. A przeto i naród, podobnie jak człowiek, powinien oddawać cześć Bogu, tem więcej, że właśnie na religji jako na pierwszej podwalinie wspiera się ten potężny gmach, który nazywamy narodem.

Rozważmy bardziej szczegółowo tę prawdę, że Boga i religji koniecznie potrzeba dla narodu, dla jego szczęścia i zdrowego rozwoju.

Społeczeństwo czyli naród jest dlatego potrzebny dla człowieka, żeby każdy człowiek miał bezpieczeństwo i możność spokojnego rozwoju.

Kiedy zapanuje bezład w narodzie, wówczas naród choruje, cierpi na despotyzm lub anarchję, słowem—na brak wolności; i wtedy społeczeństwo nie osiąga celu swego, dla którego istnieje. Ale ład nie może istnieć zarówno w ciele społecznem jak i w ciele ludzkiem, jeżeli niema w niem hierarchji, to jest, z jednej strony władzy, która skierowuje członków jego ku własnemu ich dobru, z drugiej—członków, poddających się temu kierownictwu; ponadto trzeba jeszcze sprawiedliwych praw, któreby regulowały działalność prywatną i publiczną obywateli. Oto warunki porządku i szczęścia każdego społeczeństwa.

Co wspólnego z tem ma religja? Właśnie to, że daje ona uzasadnienie dla władzy, tłomaczy rację zależności od władzy i nakazuje posłuch dla praw, tudzież potrzebę obowiązku i poświęcenia dla dobra ogólnego. Albowiem wszelka władza przypuszcza wyższość w tym, który ją wykonywa i zależność od niej w tym, nad kim wykonywa się ona. Władza jest prawem sprawcy. Posiadać władzę pełną, całkowitą jest to być twórcą lub panem tego, komu się rozkazuje. I dlatego to sam tylko Bóg jest władzą pełną, źródłem wszelkiej władzy; albowiem sam On jest twórcą wszystkich istnień. Wszelkie jestestwo od Niego zależy; dlatego „wszelka władza od Boga pochodzi". W ten sposób wszelka władza sama w sobie jest boską, aczkolwiek sprawowaną przez człowieka i chociaż formy tej władzy (rzeczpospolita czy monarchja) zależą od ludzi i wypadków. A przeto każda jednostka ludzka znajduje się w zależności naturalnej od innej jednostki. I ktokolwiek wykonywa prawnie władzę, nie może wykonywać jej w swem własnem imieniu, lecz w imieniu Boga, którego jest przedstawicielem.

Nie trzeba wszakże zapominać o tem, że często władza w narodzie jest złą, bo sprzeczną z wolą Bożą, która się wyraża w prawie przyrodzonem, i sprzeczną z wolą większości narodu. Władza taka jest samozwańczą, uzurpatorską, prawa jej są bezprawiami czyli prawami niemoralnemi, niegodziwemi, które szkodę raczej przynoszą społeczeństwu niż pożytek. Do takiej władzy obywatele mają prawo i obowiązek odnosić się wrogo, opornie. Taką władzą złą, uzurpatorską były u nas rządy trzech zaborców; taką władzą samozwańczą są obecnie w Rosji rządy sowietów, wykonywane przez znikomą mniejszość narodu i narzucone olbrzymiej większości, przytem spełniane wbrew prawu przyrodzonemu, a przeto wbrew woli Bożej.

Ale władza zła, uzurpatorska należy do wyjątkowych. My zaś mówimy tu o władzy prawowitej. O niej to twierdzimy, że pochodzi z wysoka, ma znamię święte; taką władzę ludzie winni szanować. Posłuch dla prawa i władzy nie ogranicza się do tego, iżby świadczyć go człowiekowi jako człowiekowi, nie jest strachem niewolnika, zginającego się w pałąk przed swym panem, ale jest to dobrowolne, świadome, inteligentne, szlachetne poddanie się istoty rozumnej pod wyższą wolę Stwórcy. To znamię święte na władzy wyciska właśnie religja; ona to

nadaje jej stałość, ideę równości, sprawiedliwości, braterstwa. A jeżeli religja wyciska na władzy to znamię święte, wskazując jej wyższe pochodzenie, jeżeli uzasadnia i uszlachetnia posłuch dla władzy, to właśnie ona daje prawom siłę nakazu, gdyż przedstawia nam prawo ludzkie jako reguły sumienia i ponieważ daje skuteczną sankcję prawu moralnemu.

Bo jeżeli można oszukać prawo cywilne i kryminalne, to napróżno pisze się je w kodeksie publicznym. Albowiem jeżeli te prawa są tylko wyrazem woli silniejszego, jeżeli obowiązują one tylko wobec ludzi, nie zaś wobec Boga, to będą nieustannie łamane bezkarnie. Będziemy mieli wtedy mnóstwo ukrytych zbrodni, kradzieży, oszustw. Ale z chwilą, gdy religja przedstawi je nam jako wyraz woli Bożej, kiedy zaczną one obowiązywać sumienie nasze, odtąd niepodobna gwałcić ich bezkarnie; wówczas spełnią one swój nakaz zawsze i wszędzie. Dlatego to prawodawcy starożytni przedstawiali napisane przez się prawa za prawa potwierdzone mocą bożą, której poddane są wszystkie stworzenia.

Przytem prawa ludzkie same przez się nie wystarczą nawet i wówczas, gdyby je ściśle zachowywano. Albowiem regulują one tylko czyny publiczne, nie przenikają zaś do duszy tak, iżby mogły podciąć sam korzeń złego. Jedynie prawo moralne, które zapada w głąb duszy ludzkiej, reguluje nawet myśli nasze, uczucia, zabrania nam nawet pragnąć złego, a nakazuje dążyć do cnoty. I ono właśnie stanowi najwznioślejszą część prawodawstwa, ono, to prawo moralne, które wydaje *człowieka sprawiedliwego,* czyli człowieka, czyniącego dobrze.

Otóż, skąd to prawo moralne czerpie swą powagę i siłę?

Znikąd inąd, tylko z religji.

Gdyby religja nie wskazywała, że jest Bóg sprawiedliwy, który karze za występek, a nagradza za cnotę, to jaką karę i jaką nagrodę mógłby człowiek otrzymać za złe lub dobre spełnienie obowiązku? Jeżeli ta sankcja wieczna dobra najwyższego lub zła najwyższego częstokroć jest jeszcze bezwładną przeciw rozhukanym namiętnościom, to jakiż inny hamulec może je powstrzymać? Może opinja publiczna? honor? obawa pogardy?

Ależ opinję publiczną lekceważą sobie często ludzie najuczciwsi nawet, nie mówiąc już o masach. Honor? Ależ bardzo często złoczyńcy właśnie opływają nietylko w dostatek, ale w honory i zaszczyty.

Otóż dotąd nic innego jeno religja uczy człowieka iść naprzód drogą cnoty pod okiem sprawiedliwego Sędziego, który nagradza dobre uczynki, a karze złe. Dzieje ludzkie wskazują nam, że im więcej gdzie wpływu miała religja na naród ,am naród większą odznaczał się moralnością. Starożytny Rzym nigdy nie był tak tmoralnym, jak za panowania królów i republiki, bo wtedy religja miała mocny wpływ na naród. Ale kiedy przyszli sofiści i tłumom zaszczepiać poczęli bezreligijność, wówczas państwo rzymskie chwiać się zaczęło ku upadkowi i jak zbu-

twiałe drzewo runęło. A wyglądało tak potężne, olbrzymie, nieśmiertelne, iż zdawało się, że niema siły, którąby je powaliła. Miał przecie wtedy Rzym kulturę umysłową wprost niezrównaną; miał prawa, które do dziś dnia służą za wzór wszystkim prawodawstwom; korzystał z owoców kultury nietylko własnej, ale i z mądrości licznych narodów podbitych; miał wysoką kulturę gospodarczo-techniczną, jak udoskonalenie gospodarki miejskiej tego rodzaju, co wodociągi, kąpiele publiczne, doskonałe bruki, pocztę i t. p., czego wiele z miast naszych dotąd nie posiada. Słowem, była to potęga. Zda się nic mu do szczęścia nie brakło. Przepraszam... zbrakło mu religji. I dlatego właśnie potęga rzymska, ten Rzym uczony, mądry, praworządny, bogaty, zwycięski, wesoły, piękny, pan całego ówczesnego cywilizowanego świata, runął jak dąb spróchniały. A katastrofa świadczy aż nadto wymownie, że państwo, jakkolwiek byłoby potężnem, ostać się bez religji nie może. Historja stwierdziła już nie jednokrotnie, że gdy jaki rząd państwa wypędza od siebie Boga, wtedy na tronie narodu zasiada zbrodnia, a naród upada. Jest to wielokrotnie już stwierdzone prawo historyczne, którego żadną miarą nie da się zaprzeczyć.

Z powyższego tedy wyprowadzamy wniosek, że społeczeństwo bez moralności, moralność zaś prywatna i publiczna bez religji jest gmachem bez podwalin; a prawa państwowe w społeczeństwie bezreligijnem byłyby prawami bez prawodawcy; że zatem i społeczeństwo każde ma ścisły obowiązek składać Bogu cześć jako swemu Panu, Stwórcy i Prawodawcy.

Zobaczmy teraz, jak społeczeństwo spełniać ten obowiązek względem Boga powinno.

Cześć publiczna jest konieczna w każdem społeczeństwie jako *środek*. Wiemy przecież doskonale, że religja nie jest łatwą do zrozumienia dla ludzi, a zwłaszcza prostszych, mniej inteligentnych. Przytem człowiek, nawet bardzo wykształcony, może przecie mylić się co do prawd wiary. Dlatego każde społeczeństwo musi posiadać kult publiczny, iżby pouczać ludzi w rzeczach wiary. Co więcej, religja jest nie łatwą i dla woli; człowiek, gdyby nie ułatwiono mu spełniania praktyk religijnych, nie zawszeby je wykonywał i często zaniedbywałby obowiązki religijne.

Jeżeli tedy i człowiek poszczególny i społeczeństwo ma obowiązek składania czci Bogu, to naród musi użyć środków odpowiednich, iżby ten obowiązek spełnić rzeczywiście było można; a więc łączyć się od czasu do czasu, by pouczać się o prawdach religijnych, tudzież łączyć się wspólnie na pewnem miejscu, iżby ułatwić sobie służbę bożą. Stąd widzimy, że trzeba koniecznie posiadać świątynię i uczęszczać do niej, potrzeba mieć odpowiednie święta religijne i zachowywać je w życiu, trzeba wykonywać ceremonje i uczestniczyć w nich, składać ofiary, brać udział w modlitwach, śpiewach, uroczystościach religijnych. Na takiem

miejscu świętem człowiek skupia się; tu, zdala od wrzasku i zgiełku świata, łatwo przejmuje się myślą o Bogu i o ważności życia przyszłego. Na widok ceremonji i przedmiotów czci bożej społeczeństwo poucza się co do wielkich prawd religijnych i utrwala je w duszy. Całe rodziny, znajdujące się wobec Boga, czują potrzebę zbliżenia; mękną surowe obyczaje, wygładzają się współzawodnictwa, wytwarza się jedność uczuć i myśli wśród ludzi jako dzieci Boga.

Cześć publiczna jest potrzebna nie tylko jako środek, lecz i jako *wypływ*, konsekwencja. Społeczeństwo bowiem jest ciałem zbiorowem, żywem, różniącem się od innych ciał, a stworzonem przez Boga. I ono tedy ma obowiązek składania czci Stwórcy; a więc musi posiadać ten kult zorganizowany, publiczny jako sposób wyjawienia zbiorowej od całego narodu wdzięczności swemu Panu. Poczucie potrzeby tego kultu publicznego szczególnie mocno przejawia się w pewnych szczególnych, wielkich chwilach narodu, jak np. po odniesionem walnem zwycięstwie nad wrogiem, w dzień otwarcia sejmu, lub też w dobie ciężkich przejść społeczeństwa jak najście wroga, klęska żywiołowa: trzęsienie ziemi, głód, mór i t. p. Wtedy to żywiołowo odczuwamy potrzebę czci publicznej — już to modlitwy dziękczynnej za odebrane łaski z nieba, już też błagalnej prośby o pomoc, o ratunek, jakiego ludzie dać nie mogą, a który tylko od Boga przyjść może.

Konieczność takiego aktu publicznego czci Bożej w pewnych chwilach narodowego życia spotykamy nawet u tych narodów, w których rząd prześladuje religję, ustanowiwszy zasadę, że religja jest sprawą prywatną. Mieliśmy tego częste dowody w czasie dopiero co minionej wojny we Francji, gdzie rząd dawniejszy prześladował Kościół i zerwał stosunki z Papieżem; ale gdy na Francję najechali Niemcy, pustosząc kraj bogaty i zagrażając jego pięknej stolicy, to nawet bezbożny rząd francuski przypomniał sobie Pana Boga; a w nabożeństwach, jakie urządzało społeczeństwo po zwycięstwie nad rzeką Marną lub za dusze poległych bohaterów, uczestniczyli i ministrowie prześladowczego rządu. Prawda to bowiem, co mówi nasze przysłowie: „kiedy trwoga, to do Boga".

RELIGJA I PAŃSTWO.

Kiedy rozważyliśmy, jakie obowiązki względem Boga ma człowiek i naród, to obecnie wypada nam powiedzieć, co państwo i rząd narodu czynić ma w stosunku do religji i Kościoła.

Państwo jest centrem życia każdego narodu. Państwo nie żyje z gwałtu, nie trzyma się przemocą nad obywatelami kraju, ale utrzymuje się moralną jednością myśli i woli, jaka łączy wszystkich lub większą część obywateli w kraju. I w tej samej istocie państwa daje mu religja uzasadnienie, bo mówi, że władza

państwowa pochodzi od Boga, że uczuciowe prawa państwowe wypływają z woli Opatrzności, która chciała, iżby ludzie żyli w społeczeństwie. Pojęcie tedy państwa i pojęcie narodu są nierozdzielne. Państwo jest niezbędne dla narodu; i religja jest niezbędna dla człowieka i narodu. Ale nigdy państwo nie może być celem samo dla siebie. Jest ono tylko centrem woli całego narodu, a taki ośrodek woli musi być poddany ogólnemu duchowi narodu całego. Tam, gdzie jest inaczej, społeczeństwo czyli naród żyje niezdrowo i prędzej czy później za to odcierpi. W Niemczech np. przed wojną państwo było celem dla siebie, bożyszczem, molochem, pożerającym wolność jednostek i zrzeszeń; dlatego naród zapłacił za to straszną klęską wojenną. W Rosji przed wojną państwo nie dorosło do swego zadania; naród nie miał dostatecznej świadomości w swych potrzebach i celach, nie skupił swej woli w jednym ośrodku, jakim jest państwo, nie miał ducha państwowego; dlatego prowadzony był przez niedorozwinięte państwo carów, na bezdroża i poniósł w tej wojnie stokroć gorszą klęskę niż Niemcy.

A czem jest religja wcielona i zorganizowana czyli Kościół? Kościół — jak mówi nasz katechizm — jest to zgromadzenie wiernych, wyznających tę samą naukę Chrystusa. używających tych samych Sakramentów świętych i zostających pod zwierzchnictwem Namiestnika Chrystusowego. Jest to zatem centr do wyższych dążności narodu, jedności społecznej i twórczości życia duchowego. Jego cel jest inny niż cel państwa, ale wcale nie sprzeczny, owszem najzupełniej zgodny z zadaniem państwa. Działalność Kościoła ugruntowuje życie i działanie państwowe. Owszem sama podwalina państwa wspiera się na zasadzie wolności religijnej sumienia obywatelskiego, pojętej nie zewnętrznie tylko, ale i wewnętrznie. Dlatego Kościół i państwo, z natury swej winny żyć w zgodzie, wspierać się wzajemnie, nigdy zaś nie rozdzielać się z sobą po to, by przeciw sobie walczyć. Doświadczenie też dowodzi, że gdzie nastąpi rozdział Kościoła od państwa, tam najwięcej cierpi obywatel kraju, wyznający jakąkolwiek religję. Zupełnie tak samo jak państwo, ktore nie poręcza własności prywatnej obywatela, tem samem krzywdzi go i na dobrach duszy, skoro uchyli się od popierania jego religji i Kościoła. „Cóż mi potem — słusznie mówi ks. arcybiskup Teodorowicz, — że państwo powie: nie będę broniło twej prywatnej własności, ale bądź spokojny, pozostawiam ci wolność posiadania majątku. Co mi po tem, skoro złodzieje bezkarnie wskutek braku państwowej opieki rozgrabią mój majątek? Co po tem matce, że pozwalają jej chować dziecko w domu w zasadach religijnych, skoro tę delikatną roślinkę wychuchaną i wygrzaną przez duszę jej i serce, zmrozi potem i zetnie powiew państwowej bezwyznaniowej szkoły? Co po tem rodzinie polskiej, że wolno jej chować wielkie tradycje dawnej chrześcijańskiej cnoty, skoro przez cywilne małżeństwa państwowe obniża się poziom moralny i duchowy w całym narodzie. Rozluźnienie obyczajów, uprawione przez państwo, zagraża wtedy swemi wyziewami

każdej rodzinie. Co stąd, że wolno każdemu wierzyć prywatnie? — skoro dzięki bezkarności ze strony państwa rozpasana, zwyrodniała literatura plwa na najświętsze uczucia większości narodu, poniewiera je, depcze tak, jak to się w oczach naszych dziś dzieje — gdzie pamflet bluźnierczy „Dzieje Boga“ dociera bezkarnie aż do rowów strzeleckich“.

Rozdział tedy Kościoła od Państwa to nic innego jeno rozpoczęcie prześladowania religji. Ludy nawet pogańskie i dzikie takiego prawa nie znają. Gdy zajrzymy do historji ludów, to przekonamy się, że wszystkie ludy, nawet najbardziej oświecone, te, do których zawsze szło się po naukę, po mądrość, jak np. Egipcjanie, Grecy, Rzymianie umieszczali religję na czele swych instytucji państwowych i społecznych (urzędy, trybunały, rodzina, obrona kraju), szanowały ją w swym kulcie narodowym i w swem kapłaństwie. Wszystkie narody cywilizowane posiadały kult uznany, religję narodową, uważały zniewagę tej religji za zniewagę, uczynioną swemu bóstwu. I dlatego rządy tych narodów wydawały surowe kary na publicznych bluźnierców religji, na bezczeszczących rzeczy święte. Mądre Ateny wydały prawa przeciw bezbożności. Sam Perykles, oskarżony o pogardę dla religji, musiał bronić się przed trybunałem państwowym. Wiadomo też z historji starożytnego Rzymu, jak silnie piętnował Cyceron pewnego pretora sycylijskiego, oskarżonego o łupiestwo świątyń i ołtarzy.

Ale wszystkie narody nowożytne najbardziej kulturalne Europy zachodniej broniły zawsze, aż do naszych czasów, religji Chrystusowej, a w swych konstytucjach przestrzegały wielkiego prawa — odpoczynku niedzielnego i świątecznego. Nawet rządy krajów najbardziej demokratycznych, jak Szwajcarja i Ameryka, mają pewien dzień święta społecznego. Aż do naszych czasów uznawano, że ponieważ religja jest podstawą każdego społeczeństwa, to państwo powinno tę podstawę ochraniać i szanować.

Tymczasem w ciągu XIX i XX wieku niektóre państwa (np. Francja) poszły w innym kierunku: wypierały religję z życia publicznego i uprawiały ateizm (bezbożność) społeczny, prześladowały przedstawicieli Kościoła i szerzyły t. zw. antyklerykalizm. Dla upozorowania, że czyni się wszystko w imię postępu, wynaleziono teorję, że należy odłączyć religję od państwa, że religja jest sprawą prywatną jednostki, że prawodawstwo i życie państwowe musi być ateistycnne, jednakowo obojętne dla wszystkich religji i wyznań. Co myśleć o tych „naukach“ które wskazują nam społeczeństwo czysto świeckie, bezbożne jako ostatni wyraz postępu społecznego?

Jest to wywrócenie do góry nogami samego celu, przeznaczenia społeczeństwa i państwa, które przecie ma ułatwić człowiekowi wypełnienie wszystkich obowiązków, zarówno względem Boga, otworzyć mu szeroką drogę do osiągnięcia przezeń najwyższego przeznaczenia. Na zarzut ten odpowiedzieliśmy już powyżej,

kiedy mówiliśmy, że bez prawa moralnego, które czerpie swą siłę z religji, nie może istnieć żadne społeczeństwo ani państwo.

Jak wskazuje tedy rozum, ateizm społeczny uważać należy za największe nieszczęście narodowe; zaś twierdzenie, że religja jest sprawą prywatną jednostki, za zdanie zgoła niemądre, na niczem nie oparte, sprzeczne z nauką i zdrowym rozumem.

Co dotyczy całkowitej obojętności państwa i rządu względem wszystkich religji, względem wszystkich wyznań, to i twierdzenie to jest nie mniejszem głupstwem od poprzedniego; owszem ta obojętność względem wszystkich wyznań — pod pokrywką jednakowego, niby sprawiedliwego ich traktowania — jest tak wielkiem niebezpieczeństwem, jak i brak wszelkiej religji społecznej wogóle. Ponieważ istnieć może tylko jedna religja prawdziwa, a zatem jeden tylko pożyteczny kult czyli wyznanie, które pobudza społeczeństwo do spełniania obowiązków względem Boga tudzież do praktykowania cnót przez pojedynczych obywateli, to jedynie ten kult mają przyjąć ci obywatele, ma przyjąć całe społeczeństwo. Przeto indyferentyzm (obojętność) państwa względem kultu (wyznania, Kościoła) byłby nieszczęściem narodowem.

Z powyższego widzimy, na czem polega kult społeczny, jaki obowiązuje rządy i państwa. Kult społeczny polega mianowicie na tem, iżby naród i państwo, jako osoba moralna, wykonywało w swem własnem imieniu te same akty Religji objawionej, który każdy obywatel spełnia w swem imieniu prywatnem, stosując się w tem, jak i ten ostatni, do przepisów Kościoła. Zatem musi być jakaś modlitwa społeczna czyli powinno się obchodzić jakieś święta czy uroczystości w imieniu państwa, uczestniczyć w odpowiedniem nabożeństwie; urządzać należy jakieś modły publiczne, w których wezmą udział przedstawiciele władzy jako osoby publiczne; władze publiczne ułatwiać i popierać będą manifestacyjne publiczne kultu zewnętrznego; wydadzą przepisy stosownie do okoliczności — co do zachowania przez ludność obowiązków religijnych, nie przywłaszczając sobie jednak władzy w regulowaniu spraw religijnych; władze tępić będą bezczeszczenie rzeczy świętych.

Tak wygląda prawdziwe pojęcie kultu społecznego, jaki oddawać ma państwo i rząd Bogu w krajach chrześcijańskich. Zapewne, dziś jeszcze nie zupełnie urzeczywistniamy ten ideał; wiele narodów daleko jest od niego. Ale to jeszcze nie znaczy, iżbyśmy mieli ten zapoznawać albo go nie urzeczywistniać. Państwo Polskie ten ideał w swej chlubnej przeszłości zawsze urzeczywistniało z przekonania. A i obecnie nie rozpoczynamy żadnego aktu publicznego (otwarcia sejmu, sądu, urzędów i t. p.) bez udziału naszych władz w modlitwie do Boga. Pięknie to świadczy o rozumieniu Narodu Polskiego swych względem Boga obowiązków. Oby tylko ta praktyka była coraz bardziej świadomą i coraz więcej powszechną.

ZAKOŃCZENIE.

Z powyżej powiedzianego wypada, że religja jest niezbędna zarówno dla jednostki, jak dla narodu i państwa. Ale niektórzy ludzie skrajni zarzucają, jakoby nasza religja katolicka była przeciwnarodową, ponieważ jest niepolską, lecz rzymską; a duchowieństwo nasze miałoby być niepatrjotyczne; ponieważ zależy od Papieża, który nie mieszka w naszym kraju, lecz w Rzymie we Włoszech. Ci wrogowie religji śmieją się w duszy ze swego dowcipu, ale w oczach prostego ludu może im się udać ten dowcip.

Czyż to prawda, że religja katolicka i duchowieństwo nasze jest obcem dla Polski? Twierdzić tak może tylko człowiek ciemny, który nigdy nie czytał historji Polski. Ktokolwiek bowiem zajrzy do naszych dziejów ten zaraz na pierwszej karcie przeczyta, że to właśnie kapłani i zakonnicy ucywilizowali, nauczyli orać, siać, budować domy nasz naród, umoralnili go i oświecili. Prawdy tej nigdy zaprzeczyć się nie da. A zarzut ten stawiają ci przeważnie, którzy sami są wrogami ojczyzny, jak socjaliści i międzynarodowcy.

Religja katolicka nie tylko nie jest instytucją przeciwnarodową, ale przeciwnie — najpotężniejszą podwaliną życia narodowego. Przecież to Kościół katolicki naucza w przykazaniu czwartem, żeby każdy Polak kochał nie tylko matkę rodzoną, która wydała go na świat, ale i tę drugą wielką matkę — Ojczyznę, karmicielkę wychowawczynię wszystkich pokoleń polskich, jakie żyły, żyją i w przyszłości żyć będą na ziemi naszej. Stąd Kościół nasz czcić nakazuje wszystko, co tylko zawiera się w pojęciu ojczyzny, a więc język, mowę polską, dzieje ojczyste, naukę, sztukę narodową, kraj własny; współobywateli zaś swych nakazuje kochać jak braci. Co więcej, głoszenie religji musi odbywać się — wedle przepisów Kościoła — w języku ojczystym; świątynie przyozdabia się dziełami sztuki narodowej — budownictwa malarstwa i rzeźby, które wypływają z ducha narodowego; ceremonjom towarzyszy śpiew i muzyka rodzima. Słusznie też stwierdza socjologja, że każdy naród wkłada w swą religję temperament narodowy, swą duszę zbiorową, swe talenty najcenniejsze.

Czyż nasza religja katolicka w Polsce przestaje być narodową, a staje się przeciwnarodową dlatego tylko, że jest rzymsko-katolicką? Czyż nie używa ona języka polskiego do szerzenia wiary w narodzie, pieśni religijnych, których mamy tyle od szeregu wieków, czyż nie schroniła w murach Kościoła tylu hymnów, kolend, dzieł sztuki i samej mowy polskiej przed prześladowaniem wrogów, którzy tępili nam to bogactwo narodu? Czyż ta religja nie uświęciła wielu a wielu zwyczajów czysto polskich w swych ceremonjach i tradycji rodzinnej, jak choćby

święcenie zboża i owoców na Matkę Boską Zielną, święcenie pokarmów na Wielkanoc, jak wieczerza wigilijna i łamanie się opłatkiem w wigilję Bożego Narodzenia i tyle, tyle innych! Religja tedy katolicka w Polsce była i jest najlepszą strażniczką naszych uczuć patrjotycznych i wychowawczynią polskiego ducha narodowego.

Ks. prof. Al. Wóycicki.

Nauki gospodarcze Św. Tomasza z Akwinu.

Z wielką uwagą i korzyścią przeczytałem obszerną ocenę książki mojej p. t. „Zasady nauki ekonomji społecznej“, pióra czcigodnego p. Senexa, ogłoszoną w numerze marcowym „Prądu“; jest to bowiem pierwsza krytyka, trafiająca w samo sedno moich intencyj. Recenzja ta jest w wielu ustępach zbyt dla mnie pochlebna; zdaję sobie bowiem doskonale sprawę z niedomagań tej książki, której ideom przewodnim — szkodzi okoliczność, że chce być podręcznikiem przeznaczonym dla słuchaczy, mającym ich wprowadzić w naukę ekonomji i zachęcić możliwą przystępnością i jasnością wykładu do dalszego jej studjowania; nieodłączna bowiem od podręcznika zwięzłość, nie pozwoliła mi bliżej rozwinąć różnych myśli, wskutek czego narazić się musiałem na niejedno nieporozumienie. Obiecuję sobie szczegółowe rozwinięcie tych myśli w systemie ekonomji, co zapowiedziałem już w przedmowie „Zasad“. Ale ponieważ nigdy nie wiadomo, czy i kiedy zamiary takie będą mogły się urzeczywistnić, a jedno z tych możliwych nieporozumień widzę właśnie przed sobą i to ze strony autora, z którego intencjami zasadniczo się zgadzam i którego znawstwo każe mi wysoko cenić jego opinję, proszę o trochę miejsca dla poniższych wyjaśnień.

Wedle zdania p. Senexa „Kooperatywy spożywcze są mało produkcyjne, a kooperatywy wytwórcze nie dały rezultatów“. Mam wrażenie, że szan. recenzent nie zwraca uwagi na wspaniały rozwój ostatnich, przedewszystkiem w Wielkiej Brytanji, a pierwszych w całej Europie, prócz właśnie Francji i Polski, czego przyczynę tłómaczy co do Francji Gide, wskazując na roznamiętnienie partyjne, panujące w jego ojczyźnie. Szan. recenzent idzie m. zd. nieco jednostronnie za liberalizującymi pisarzami katolickimi ostatniej doby, np. za Jerzym Valois, odnośnie do roli państwa. Francja jednak współczesna ani w dziedzinie teorji eko-

nomji społecznej, ani w dziedzinie działalności praktycznej gospodarczo-społecznej nie gra już pierwszej roli. W. Brytanja i Włochy, a nawet Niemcy przewyższyły ją bardzo znacznie. Nie będę dłużej rozwodził się nad temi kwestjami, co do których istotnie jesteśmy różnego zdania. Tak samo np. co do monopolu własności ziemskiej dla pewnej warstwy, nigdy nie poszedłbym za zdaniem Arystotelesa, uważając, że obowiązek miłości chrześcijańskiej każe mi dbać przedewszystkiem o obdzielenie bezrolnych ziemią i zatrzymanie ich tym sposobem w obrębie ojczyzny.

Inna rzecz co do zasadniczych punktów wyjścia. Tu jako katolicy powinniśmy być zgodni, a jednak nimi nie jesteśmy. Widocznie to moja wina i dlatego pragnąłbym tutaj uzupełnić wywody mojej książki.

Powiada p. Senex z jednej strony, że przeciągam strunę etyczną, że etyka zmierzająca do celu wiecznego, nie może być podstawą nauki doczesnej jak ekonomika społeczna (str. 157), a z drugiej strony zarzuca, że niesłusznie poprzestaję na „obowiązku" i „sprawiedliwości", gdy powinienem oprzeć naukę gospodarstwa społecznego na miłości, „zawsze gotowej do poświęceń na rzecz cudzego dobra" (wyrażenie encykliki Leona XIII, str. 160). Ponieważ miłość ta idzie o wiele dalej, aniżeli moje stanowisko, liczące się zbytnio z ułomną naturą ludzką i „doczesnością" nauki ekonomji społecznej, przeto zdawałoby mi się, że z obu zarzutów: za wiele etyki, za mało miłości, mogę zasłużyć tylko na jeden. Albo, albo. Bo jeśli za wiele etyki, to i za wiele miłości, wszak postulaty etyki zmierzają do celu wiecznego, a drogą do niego może być tylko miłość. Powtóre zaś, kładąc nacisk na obowiązek, rozumie się doczesny i sprawiedliwość, również rozumie się doczesną, wskazuję, że licząc się z naturą ludzką, mam na myśli i poprzestaję na najzwyczajniejszej pospolitej etyce ogólno-ludzkiej jako na minimum wystarczającem w stosunkach gospodarczych, a dla całego ogółu do osiągnięcia możliwem. Ale w takim razie etyka może być właśnie podstawą ekonomji społecznej. Jeżeli teoretyczna ekonomja (sc. liberalna) opiera się na egoizmie, a tylko w dziedzinie polityki socjalnej dopuszcza się do głosu altruizm, to żądając zaniechania tej jednostronności, nie cel wieczny mam na myśli jako podstawę ekonomiki, lecz poprzestaję na takiej dozie altruizmu, jaka potrzebna jest do tworzenia silnych i zwartych społeczeństw oraz zdrowego i bogatego gospodarstwa społecznego.

Czy w tem jest istotnie nieżyciowe przeciągnięcie struny?

Najważniejszym jest jednak pogląd Św. Tomasza na własność prywatną, co do którego szan. krytyk zarzuca mi nieporozumienie (str. 158) tudzież twierdzenie, że mówiąc o niemożliwości ustroju kolektywistycznego ze względu na ułomność natury ludzkiej, niesłusznie powołuje się na Św. Tomasza (str. 160). O tych kwestjach chciałbym pomówić nieco obszerniej.

Pogląd Św. Tomasza na własność prywatną różni się zasadniczo od poglądu np. prawa rzymskiego. Św. Tomasz uczy bowiem dosłownie: „Człowiek ma dwojakie prawo do rzeczy zewnętrznych, z jednej strony ma prawo nabywania ich i zarządzania niemi; jeśli się ono do tego ogranicza, wolno człowiekowi mieć własność... Powtóre istnieje prawo używania rzeczy. W tym kierunku człowiekowi nie wolno uważać ich za swoją własność osobistą, ale winien je uznać jako wspólne wszystkim, więc dzieli się niemi z innymi w razie potrzeby. (Et quantum ad hoc [usum rerum] non debet homo habere res exteriores ut proprias, sed ut communes, ut scilicet de facili aliquis eas communicet in necessitate aliorum). Następnie zaś Św. Tomasz uczy: „Jeśli kto wcześniej od innych przyjdzie na przedstawienie teatralne, ale drugim zostawia drogę otwartą, nie działa wbrew przepisom. Zabronionem stałoby się jego postępowanie, gdyby innym tamował przystęp. Podobnie i bogaty nie działa wbrew przepisom, jeśli niejako przed innymi przywłaszczył sobie posiadanie rzeczy, które przedtem były wszystkim wspólne, ale je udziela i innym. Atoli grzeszy, jeśli innych w sposób bezwzględny wyklucza od używania rzeczy. Jakoż Św. Bazyli powiada: „Dlaczego u Ciebie byłby nadmiar, a u drugiego niedostatek, jeśli nie na to, abyś zdobył sobie zasługę przez należyty rozdział dobrych uczynków, a on zdobył sobie nagrodę za cierpliwość". Odnośne ustępy mieszczą się w edycji Parmeńskiej dzieł Św. Tomasza z Akwinu w tomie III „Summa theologica" II/II qu. LXVI art. II. Św. Tomasz uczy dalej, że dawać jałmużnę z nadmiaru jest *obowiązkiem* (Sic ergo dare eleemosynam de superfluo est in praecepto l. c. qu. 32. art. V). Nie jest to bynajmniej sprzecznem z ustępem encykliki Rerum novarum, wedle którego „do spełniania obowiązków miłości nikogo w drodze prawnej przymuszać nie można" (recenzja str. 160), bo mowa tu jedynie o obowiązku prawnym i zaskarżalnym, podczas gdy Św. Tomasz mówi o rozleglejszym obowiązku moralnym. Ale wedle Św. Tomasza nawet z rzeczy koniecznych istnieje *obowiązek* dawania jałmużny, jeśli obdarowany znajduje się w skrajnej nędzy (in extrema necessitate). Co więcej, własność nie jest bezwzględna. Wedle Św. Tomasza rzeczy służą na zaspokojenie potrzeb ludzkich. Żaden więc rozdział dóbr ani ustrój własności, wypływający z prawa ludzkiego, nie może przeszkodzić zadaniu usuwania niedostatku ludzkiego. I dlatego rzeczy, które jedni mają do zbytku, należą wedle niego zgodnie z prawem naturalnem do ubogich (l. c. art. VII. „Et quae sunt iuris humani, non possunt derogare iuri naturali vel iuri divino. Secundum autem naturalem ordinem ex divina providentia institutum res inferiores sunt ordinatae ad hoc, quod ex his subveniatur hominum necessitati. Et ideo per rerum divisionem et appropriationem ex iure humano procedentem non impeditur quin hominis necessitati sit subve-

niendum ex huius modi rebus. *Et ideo res quae alique superabundanter habeat, ex naturali iure debentur pauperum sustentationi)*". Św. Tomasz idzie jeszcze dalej, dowodząc że w razie naglącej potrzeby, która nie może być zaspokojoną w inny sposób, wolno nawet, jawnie czy tajnie, zabrać rzecz jakąś stanowiącą cudzą własność, co wówczas nie będzie miało cechy kradzieży czy rabunku (l. c. art. VII). W „Summie contra gentiles", drugiem swem wielkiem dziele, św. Tomasz w księdze III, traktując o „dobrowolnem ubóstwie" pisze, że kto bierze na siebie ubóstwo dobrowolne, gardzi doczesnemi dobrami, a taki człowiek z powodu wspólności dóbr doczesnych z drugim się nie poróżni. (Tales enim debent voluntariam paupertatem assumere, qui temporalia contemnant et tales pro temporalibus communibus discordare non possunt). Ustęp ten rozumiem w ten sposób, iż tylko tacy ludzie nadają się do ustroju komunistycznego, którzy gardzą dobrami doczesnemi, a że to jest niezmiernie rzadkie, więc też tylko wyjątkowi ludzie, np. zakonnicy, mogą żyć w takim ustroju; dla ogółu jest on utopją. To samo powiedziałem, powołując się na św. Tomasza na str. 532 mojej książki.

O sprawiedliwości powiedział już św. Augustyn (de moribus Eccl. 15), że jest ona identyczna z miłością służącą Bogu; wedle tego więc wytknięcie sobie za cel sprawiedliwości (jak u mnie str. 537) byłoby identyczne z celem najszczytniejszym: miłości, który szan. krytyk przeciwstawia celowi sprawiedliwości. Wedle nauki św. Tomasza spełnienie obowiązku jest minimum w stosunkach z innymi ludźmi, to znaczy w stosunkach społecznych. Cnota sprawiedliwości, polegająca na dobrowolnem i chętnem spełnianiu obowiązków, idzie o wiele dalej; ponieważ zaś każda cnota ludzka skierowana ku dobru powszechnemu, podpada pod ogólne pojęcie sprawiedliwości, jest ona cnotą powszechną (Sum. theol. II/II qu. LVIII. art. V). Sprawiedliwość polega na głębokiej rozwadze, skierowanej ku dobru powszechności. Sprawiedliwość może być dwojaka: przy zamianie, t. j. przy wszelkich aktach gospodarczych, polegających na wzajemności świadczeń, tudzież przy rozdziale (l. c. qu XI art. 1). I miara sprawiedliwa jest tu i tam odmienna (l. c. art. IIII). Tam miarą jest stosunek świadczeń między sobą, tu znaczenie dla ogółu jednostek, między któremi następuje rozdział. W miarę swego znaczenia otrzymują więcej lub mniej. Co do wymiany jest rzeczą niesprawiedliwą i niedozwoloną rzecz jaką sprzedawać drożej lub zakupować taniej, niż jest istotnie warta. Ze względu na szkodę, jaką ponosi sprzedawca, pozbywając się rzeczy potrzebnej mu w własnem gospodarstwie, może on doliczyć do istotnej wartości pewną nadwyżkę, ale nigdy ze względu na szczególną potrzebę kupującego. Albowiem korzyść, która przypadła nabywcy, nie jest rezultatem samej sprzedaży, ale szczególnego położenia kupującego. A nikt sprzedawać nie może drugiemu tego, co nie jest jego własnością, aczkolwiek mógłby sprzedać szkodę, jaką sam ponosi.

(Si vero aliquis multum juvetur ex re alterius quam accepit, ille vero qui vendit, non damnificetur carendo re illa, non debet eam supervendere, quia utilitas, quae alteri accrescit, non est ex vendente, sed ex conditione ementis. Nullus autem debet vendere alteri, quod non est suum: licet possit ei vendere damnum, quod patitur. *Summa* theol. II/II qu. 77). Kto wszakże ma szczególną korzyść w otrzymaniu jakiej rzeczy, może z dobrej woli ofiarować sprzedawcy cenę wyższą. Należy to poniekąd do wymagań przyzwoitości. I tu dodaje Św. Tomasz ustęp, który tłomaczy, dlaczego w nauce ekonomji społecznej, jako nauce doczesnej poprzestaje na żądaniu minimalnem spełniania obowiązków i trzymania się sprawiedliwości w rozumieniu ludzkiem i ułomnem, nie sięgając wyżyn doskonałości ani miłości lub sprawiedliwości Bożej. „Prawo ludzkie nadaje się całemu ludowi, wśród którego żyje wielu bez cnoty, a nie tylko cnotliwym. Dlatego prawo ludzkie nie może zakazywać wszystkiego, co stoi na przeszkodzie cnocie, ale musi poprzestawać na tem, by zdaleka utrzymać to, co niszczy współżycie ludzkie. Reszta jest niejako dozwolona, nie w znaczeniu, jakoby zyskiwała uznanie, ale o tyle, że *ustawa* za to nie naznacza kary". Wyższa cena sprzedaży od ceny zakupu dopuszczalną jest w razie przeróbki albo poprawy rzeczy w jakimkolwiek kierunku, w razie zmiany zapotrzebowania miejscowego lub niebezpieczeństw, połączonych z przewozem z jednego miejsca na drugie (l. c. qu. 77).

Co się tyczy procentu od rzeczy, których używanie polega na ich zużyciu, np. wina, zboża, nie da się odróżnić używanie od rzeczy samej, przez oddanie bowiem używania oddaje się rzecz samą i dlatego przenosi się równocześnie prawo posiadania. Gdyby ktoś sprzedawał osobno wino, a osobno używanie wina, sprzedałby tę samą rzecz dwa razy, albo sprzedałby raz coś, co wcale nie istnieje, i w ten sposób popełniłby grzech przeciw sprawiedliwości. Z tych samych przyczyn popełnia niesprawiedliwość, kto wypożycza wino czy zboże i żąda za to podwójnego wynagrodzenia, z jednej strony zwrotu takiej samej rzeczy, a z drugiej ceny za używanie, nazwanej procentem. Tam, gdzie używanie nie zbiega się ze zużyciem, jak przy wynajmie domu lub mieszkania, pobieranie osobnego czynszu jest dozwolone. Właściwym i istotnym sposobem używania pieniędzy jest ich wydawanie czyli zużycie. I dla tego nie jest dozwolone przyjmowanie ceny za używanie wypożyczonych pieniędzy, t. j. procentu, (l. c. qu. 78). Rzecz się ma taksamo przy sprzedaży na kredyt, gdyż czas nie może być przedmiotem sprzedaży (wyd. parmeńskie Dzieł zbiorowych t. XVII. op. 60 „De emptione et venditione ad tempus").

Ze wszystkich wywodów Św. Tomasza wynika, że odmiennie, niż liberalizm ekonomiczny uważa on, iż rzeczy przeznaczone są do służenia człowiekowi, że przeto najważniejsze jest, aby *każdy* człowiek mógł zaspokoić nieodzowne swe

potrzeby (nawet wbrew woli właściciela w razie naglącej konieczności) nie zaś, aby produkcja rzeczy rozwijała się bez ograniczenia. Własność prywatna uzasadniona jest wprawdzie z powodu większej troskliwości jednostki o dobro własne, niż wspólne, z powodu większej siły pracy w tym wypadku i lepszego unikania sporów, atoli własność ta jest indywidualna tylko co do dzierżenia i zarządu, co do używania bowiem istnieje *obowiązek* dopuszczenia do niego wszystkich potrzebujących, ale bez uszczerbku potrzeb własnych i rodziny, odpowiednich stanowi. Własność prywatna tak pojmowana jest ograniczona, jest wprawdzie indywidualną, ale przeznaczoną do służby na rzecz wszystkich.

Zwiększony dochód właściciela ziemi, płynący z jego fachowej znajomości, np. ogrodnictwa, uznaje Św. Tomasz za usprawiedliwiony i zgadza się w takim razie na wyższą cenę sprzedaży gruntu przez owego ogrodnika, niż była cena nabycia. Będzie to jednak rezultatem pracy właściciela, a nie okoliczności od jego zasługi niezależnych, a więc faktu, że uprawna ziemia różnych właścicieli jest różnej jakości, że domy istnieją w różnych miejscowościach, w różnem położeniu, w ograniczonej ilości. Dochód z tych źródeł płynący — ten tylko stanowi resztę — oczywiście nie płynie z zasługi właściciela, a wobec tego wedle nauki św. Tomasza o *iustum pretium* i o procencie należy go uznać za nieusprawiedliwiony, co objaśniłem na str. 470 przykładami cen placów budowlanych w różnych epokach. *Iustum pretium* jest wynikiem uniwersalistycznego pojmowania całego gospodarstwa przez św. Tomasza.

W końcu parę słów o teorji wartości Św. Tomasza. Odmiennie niż Valois, który twierdzi, że wartość jest czemś poza człowiekiem, Św. Tomasz podnosi wprawdzie objektywne cechy rzeczy, jak jej istotę, wielkość, przymioty (essentia, quantitas, qualitas), a jednak przyznaje, że każda rzecz zyskuje na wartości wedle relatywnej skali potrzeb (Quaestiones quodlibetales I. 14), tem samem więc i strony subjektywnej wartości nie zapoznaje. Nie pomija i kwestji popytu i podaży, skoro mówi o d i v e s i t a s c o p i a e e t i n o p i a e, a więc o kwestjach subjektywnych. Dodaję w końcu, że teorję użyteczności krańcowej potępiłem na str. 199 w. 8 z dołu do str. 202.

Może po tych wyjaśnieniach zbliżymy się z szan. recenzentem, czego szczerze pragnę.

Leopold Caro.

Kirem zasłonięte Tatry i Babia-Góra.

Dnia 9-go kwietnia odbył się w Nowym-Targu pogrzeb, człowieka, o którym powinna się dowiedzieć cała Polska. Zmarł D-r Jan Bednarski, człowiek ogromnych zasług patrjotycznych, obywatelskich i zarazem wzorowy katolik.

Ś. p. D-r Bednarski, góral z pochodzenia (Bystra ad Jordanów), jako fizyk w Nowym-Targu zdziałał dla miasta (szpital, gimnazjum, bursa gimnazjalna, ośm kółł), on był twórcą kolei Nowy-Targ-Suchagóra, założycielem „Gazety Podhalańskiej“ — wszystko można powiedzieć dzieła regjonalne, o których szeroko pisała po śmierci miejscowa prasa. Natomiast rozgłos w całej Polsce zdobył sobie D-r Bednarski pracą nad polskością Spisza i Orawy i o tej pracy zamierzam rzucić garść wiadomości na łamach „Prądu“. Przypomnimy sobie w ten sposób i sprawę Spisza i Orawy, tak obojętnie oraz powierzchownie pojmowaną przez szeroki ogół, a co za tem idzie: prawie, że zupełnie nieznaną.

Z kresowych zagadnień politycznych sprawa Spisza i Orawy jest najmłodszą. Daleko, bardzo nam daleko do tego, abyśmy wszystkich Polaków tych ziemic mogli nazwać Polakami, ogromna ich część bowiem jest i dziś nieuświadomioną. Nawet ci, co się do Polski dostali, nie czują się wszyscy Polakami, choć mówią przepięknym językiem staropolskim.

Przed wojną w północnych Węgrzech według statystyki uczonych żyło mniej-więcej 150,000 Polaków na Orawie, Spiszu i w okręgu Czacy. Z tej bądź cobądź dosyć pokaźnej liczby dostało się do Polski niecałe 25,000 Polaków, a więc zaledwie $^1/_6$-a. Ś. p. D-ra Bednarskiego jest to praca i zasługa, że szczyt Babiej-Góry do nas należy i że na cudnej ziemi Spisza stanęła polska noga, słabo, bo słabo, ale stanęła.

Oto zarys działalności D-ra Bednarskiego.

Był to człowiek niezwykle cichy, skromny, nienawidzący hałasu, hołdujący złotej zasadzie: mało mówić, nic nie mówić, ale dużo pracować.

Jako młody lekarz już w r. 1896 rozpoczął swą polską pracę za granicami Podhala Galicyjskiego. Spiszacy, Orawcy chętnie spieszyli do niego po rady lekarskie, bo mało, zwyczajnie nic nie kosztowały, a były bardzo dobre i sumienne. D-r Bednarski nie puścił żadnego ze swych „klijentów“ bez kalendarza lub innej książki polskiej. Szczerem, ujmującem serce słowem umiał powiedzieć kilka zdań o dawnej Polsce i wykrzesać iskrę nadziei nowej Polski. Grono jego znajomych ze Spisza i Orawy nie było zbyt duże. Nie każdy bowiem „pacjent“ miał odwagę brać ze sobą książki polskie i narazić się na szykany i prześladowania czujnego żandarma madziarskiego.

Mnie nie D-r Bednarski wskazał drogę do Polski, tym przewodnikiem był ś. p. Juljan Teisseyre, obchód Grundwaldzki wstrząsnął mą duszę i już jako uświadomiony, ale nie wiedzący co czynić — młody kleryk — wpadłem w błogosławione ręce Bednarskiego. Pośrednikiem czy też przewodnikiem, był jeden z kalendarzy Bednarskiego. Było to zaś tak:

Pewien gospodarz z Podsarnia na Orawie wracał właśnie od D-ra Bednarskiego i w drodze przeglądał darowany przez Bednarskiego kalendarz. Nie wiedział, że go ktoś podpatruje. Ten ktoś był to ś. p. Aleksander Matonog, nieodżałowany, bardzo zdolny pomocnik notarjusza w Podwilku. Przyskoczył znienacka do gospodarza i wyciągnął mu z pod cuchy ów kalendarz, który on tam ze strachu schował, bo na Węgrzech szerzenie i budzenie świadomości narodowej należało do największych zbrodni politycznych. Gospodarz wyjąkał po długich naleganiach, prośbach i zapewnieniach, że mu nic nie będzie — skąd ma kalendarz. Było to w r. 1911. Zaraz pobiegliśmy do Nowego Targu (ś. p. Matonog, E. Stercula, aptekarz z Jabłonki i ja — więcej uświadomionych Polaków nie było na Orawie!) i poznaliśmy D-ra Bednarskiego. Ucieszył się, że jego drobne kroki, mała pozornie praca — trafiły do nas — inteligentów. I zaraz, przy tem pierwszem spotkaniu wezwał i zobowiązał nas do pracy. Lepiej mówiąc rozkazał nam, abyśmy napisali odezwę do ludu polskiego na Węgrzech, a on ją wydrukuje, wszelkie koszta pokryje.

Miał w sobie jakiś czar, że kto go raz poznał, musiał się do niego przywiązać i pokochać razem z nim idee, którym służył.

Trudne mieliśmy zadanie. Żaden z nas nie umiał pisowni polskiej, byliśmy wychowankami szkoły wyłącznie madziarskiej. Ale pisaliśmy, bo D-r Bednarski upominał się uporczywie o rękopisy. I napisaliśmy wszyscy po swojemu, każdy inną — swoją fonetyczną pisownią. I wyszła z druku pierwsza broszura polska: *„Co my za jedni“*. Zrobił się ruch. Ludzie — prości górale orawscy i spiscy — zdumieli, że można pisać „po naszemu“.

Za rok założył Dr. Bednarski „Gazetę Podhalańską“, wyłącznie w tym celu, aby była rozsiewaczką polskości na ziemiach polskich w północnych Węgrzech. Ileż to było kłopotu z tą gazetą! Aby na Węgry mogła mieć przystęp, nie mogła nic pisać przeciw Madziarom, bo zabroniliby jej gościnnego zaglądania do chat polskich. Słowacy nas z tego powodu posądzali o zaprzaństwo słowiańskie, o służalstwo dla Madziarów, naśladujących Bismarcka w swej polityce narodowościowej. Ja, będąc słowianofilem, cały rok bojkotowałem „Gazetę“, co przezacnemu Bednarskiemu ogromny ból i dużo trosk sprawiało. On jednak umiał znaleźć właściwą drogę dla „Gazety“, że nikogo nie raziła, a Polaków spiskich i orawskich ze snu budziła, do pracy narodowej zachęcała. Złamał i mój nierozumny, namiętny upór „słowiański“, po roku zacząłem pisać do „Gazety“. I szła żwawo praca.

W r. 1913 studenterja orawska była już duchem polskim przesiąknięta, ks. Antoni Sikora, jako student gimnazjum, stworzył w Jabłonce „Polskie kółko samokształcenia“, gdzie w madziarskich szkołach wychowywana młodzież uczyła się pisać, czytać, deklamować i mowy wygłaszać po polsku. Jakież to piękne, życiodajne wspomnienia! Dr. Bednarski ręce zacierał z radości, gdzie mógł sypnął groszem dla braci studenckiej, zaprosił na wycieczkę do Zakopanego, zrobił nam królewskie przyjęcie z muzyką i śpiewami, pokochaliśmy go całem sercem, a przez niego wszystko, co polskie. W r. 1914, tuż przed wybuchem wojny, urządziliśmy w Zakopanem „Dzień spisko-orawski“, w którym wzięło udział ponad 50 uczącej się młodzieży w szkołach średnich i wyższych ze Spisza i Orawy. Pod mistrzowską opieką ojcowską Bednarskiego polskość rosła w naszych sercach jak na drożdżach.

Przyszła wojna!... Wszystko się załamało, na wojnę poszło, wyginęło, on, dr. Bednarski, pozostał na straży. W pajęczynie podejrzeń austrjackich, w ogromie trudności finansowych nie pozwolił upaść „Gazecie“. Wychodziła ona bez przerwy, był czas (listopad, grudzień 1914), gdy była jedynem pismem polskiem w Galicji. Przetrwała — Niemcom, Austrjakom ani na chwilę nie służyła, wychodziła z białemi „plamami“, ona jedyna czuwała nad naszą polskością w czasie zawieruchy światowej.

Bóg tej wytrwałości pobłogosławił. Gdy bowiem w r. 1918 Małopolska zrzuciła pęta niewoli, na zachętę d-ra Bednarskiego zrobiliśmy to i my Orawcy i Spiszacy; wypędziliśmy władze madziarskie i przyłączyliśmy się do Polski. Dotąd to praca d-ra Bednarskiego.

Od r. 1918, od zmartwychwstania Ojczyzny, dalszy nas los spoczął w rękach rządów warszawskich, które zrobiły z nas — kaleki. Pokrajano nas nielitościwie. Ziemie tatrzańskie wzdychają do połączenia się, po zgonie swego opiekuna płaczą łzami miłości czułych dzieci i szepcą bystremi strumieniami górskiemi i szumią szeptem świerkowych lasów:

Kto nam zastąpi d-ra Bednarskiego?

Zmarł zbożnie. Przyjął kilka razy Wijatyk, jego piękna dusza u Boga. My osieroceni Spiszacy i Orawiacy modlimy się, prosimy i błagamy Boga, aby nam dał takich przyjaciół z szeregów „Odrodzenia“.

Ks. F. Machay.

Przyczyny ruiny gospodarczej w Polsce.

Życie w całej Polsce we wszystkich bez wyjątku warstwach narodu nosi piętno przygnębienia i apatji. Niema wprost stanu społecznego zadowolonego: wszyscy szemrzą, wymyślają i przeklinają. Zniechęcenie ogólne.

Słusznie mówią Niemcy: *Muż verlohren — Alles verlohren.*

Jak się wstecz obejrzymy o parę lat i porównamy ówczesny stan w Polsce z obecnym, każdy niemal bez wyjątku powie sobie: o ile przedtem lepiej było u nas! I to nietylko gospodarczo, ekonomicznie, finansowo, nietylko materjalnie było lepiej, lecz nawet duchowo i moralnie. O ile więcej byliśmy wówczas ofiarni, patrjotyczni! O ile więcej mieliśmy godności narodowej, poczucia sił wskrzeszonego narodu, aspiracji narodowych, chęci do czynu i wiary w przyszłość naszą! Wszystko to pierzchło, wszystko się rozwiało jak mgła i ciemna rzeczywistość wywołuje u wielu słowa przekleństwa.

„Na szto nam hetaka Polsza“ — mówią chłopi na rubieżach naszych wschodnich. Nasz lud polski, kaszubski, na Pomorzu otwarcie mówi, że woli należeć do państwa niemieckiego. Zaręczano mnie, że nie lepiej się dzieje na Górnym Śląsku, który bezwarunkowo odpadłby od Polski w razie powtórzenia plebiscytu. A czy się w Poznańskiem nie słyszy: „Jednak za niemców lepiej było“ lub w b. Kongresówce: „nawet za rosyjskich czasów takich rzeczy nie bywało“.

W rzeczy samej jest źle i jest obawa, że będzie jeszcze gorzej. Nigdzie niema pieniędzy, nikt w czas swych wierzytelności nie może otrzymać. Weksle się protestuje masowo. Sklepy stoją bez klijentów, przemysł się redukuje, ilość dni roboczych dochodzi do 3 i 2 w tygodniu, a jest b. wiele fabryk zupełnie zamkniętych, nieczynnych.

Stan Polski wygląda bez wyjścia i z punktu widzenia ludzkiego — beznadziejnie.

Czyżby jednak Opatrzność tak cudownie nas powołała do życia państwowego na to byśmy wszystko zmarnowali i musieli znowu w niewolę iść obcą?

Czyż o nas trzeba będzie powiedzieć: „miałeś Chamie złoty róg“?.

Nie — z tem się pogodzić niepodobna i wierzyć w to niesposób! Musimy w ciągu dalszym tej Boskiej Opatrzności ufać, musimy kornie błagać Najwyższego o pomoc dla naszego Państwa i Kraju i musimy jednocześnie błędy swe zrozumieć, musimy zejść z fałszywej drogi i usilnie pracować, by naprawić zło — do któregośmy sami doprowadzili, pozwalając nieodpowiednim czynnikom sobą kierować.

W takich katastrofalnych epokach życia Państwa należy najdzielniejszym jednostkom narodu się skupić, zjednoczyć, cały hart ducha wcielić w czyn i żmudną pracą codzienną z zaparciem się siebie szerzyć przykład i innych pobudzać.

„Kto wytrwa aż do końca—ten zbawion będzie!“—powiedział Zbawiciel i to się równie tyczy rzeczy wiecznych jak i doczesnych.

Musimy trwać i przetrwać to zło. Musimy przecie wierzyć, że jesteśmy narodem wielkim, skorośmy mieli wspaniałą przeszłość historyczną i mamy poczucie, żeśmy warci lepszej przyszłości.

Musimy więc tego dowieść i dokonać.

A więc zanalizować przyczyny zła, wziąć się uczciwie do usuwania go i do żmudnej pracy naprawy.

Wszyscy ogólnie narzekają na brak pieniędzy i wskazują na to, jako na główną przyczyną zła w Polsce.

Dlaczego więc jest taki brak pieniędzy?

W chwili, gdy niemcy z Polski zostali wyparci, w listopadzie 1918 r. mieliśmy w obiegu 800 miljonów marek polskich (Kriesa) przez niemców drukowanych, które wówczas przedstawiały wartość 120 miljonów dolarów. Prócz tego w obiegu mieliśmy banknoty niemieckie, austrjackie, rosyjskie, a również sporo złota rosyjskiego i niemieckiego i stosunkowo dużo dolarów i innych walut zagranicznych.

W ciągu kilku lat, powoli, złoto efektywne i waluty zagraniczne wymienialiśmy na polskie marki — byliśmy do tego przez Ministerstwo Skarbu zmuszani, i niepostrzeżenie zostaliśmy się z temi markami polskiemi, których wciąż w międzyczasie przybywało. Nastąpił okres inflacyjny z gwałtownym spadkiem marki.

W chwili zaprowadzenia złotego w kwietniu 1924 r. było w obiegu przeszło 570 tryljonów marek, które przedstawiały wówczas wartość — według ustalonego kursu — 61.207.335 dolarów i 90 centów, t. j. że po pięciu latach życia państwowego Polski dług jej banknotowy zmniejszył się do połowy.

Polska przez ten czas prowadziła wojnę, odbudowywała wysadzone mosty, zburzone i spalone budynki stacyjne, koleje, budowała nowe gmachy i odnawiała stare, rozbudowała niepomiernie aparat urzędniczy, żyła nad stan, marnując często grosz publiczny, trwoniąc go, doprowadzając do nadużyć, kradzieży, rabunku niemal.

Nic ją co prawda to nie kosztowało, bo nawet część długu się zmniejszyła. Niestety, nie był to jednak cud. Odbyło się to kosztem obywateli polskich, którzy przez dewaluację stracili ekwiwalent pięcioletniego życia państwowego ponad stan. Nie inaczej wyszło społeczeństwo polskie z operacji pożyczek państwowych krótko i długoterminowych, pożyczek Odrodzenia i pożyczek wolności, z miljonówek, nawet bonów złotych. Na wszystkiem sromotnie zostali przez Skarb polski

pokrzywdzeni i wyzuci ze swych oszczędności i ze środków obiegowych. Ofiarą niestety padli w pierwszym rzędzie ci, którzy jako dobrzy synowie Ojczyzny spieszyli z zakupieniem pożyczek i stosowali się do obowiązujących zakazów nabywania walut zagranicznych. Ocaleli zaś wszyscy ci obywatele Polski, którzy wbrew obowiązującym ustawom chronili się przed dewaluacją i ruiną swą, nabywając pokryjomu dolary.

Niestety, wyznać należy, że Skarb polski niczego, rzec można, nie zaniedbał, by zaufanie do siebie doszczętnie zniszczyć. Nie ma go i w Polsce samej, ale również nie ma go i zagranicą i dlatego też nie należy w obecnych warunkach spodziewać się większej pożyczki zagranicznej,

W tym czasie jeszcze założenie Banku Polskiego ogromnie poderwało środki obiegowe społeczeństwa, gdyż wycofano w formie efektywnego złota i walut zagranicznych ekwiwalent stu miljonów franków szwajcarskich na kapitał zakładowy tego banku.

Następnie gospodarka w gminach i miastach, w instytucjach samorządowych prowadzona przez czynniki najzupełniej po większej części nieodpowiednie (gdyż wyznaczali i nakładali podatki ci, którzy ich wcale nie płacili dzięki pseudodemokratycznemu, demagogicznemu duchowi czasu) pochłaniać zaczęła olbrzymie sumy ponad siły społeczeństwa.

Jest to trwonienie grosza publicznego.

Ogołociło to do reszty społeczeństwo i zostaliśmy anemicznym, bezkrwistym organizmem państwowym.

Tymczasem życie państwowe rozrastało się ponad wszelką potrzebę i możność: urzędnicy, urzędy, komisje, komitety, ministerja, przedstawicielstwa na kongresach mnożyły się i dla utrzymania tego aparatu rosły podatki z różnemi degresjami i progresjami, które rzeczywiście obarczyły płatników cośkolwiekbądź posiadających do tego stopnia, że przestali już prawie gotowiznę posiadać. Mogło to iść tym trybem kilka lat, pokąd klasy t. zw. posiadające miały jeszcze trochę zasobów, bo ludność biedniejsza wcale narazie nie zauważyła, że się tak źle działo i że kraj szybko szedł ku ruinie, będąc zupełnie niemal zwolnioną od podatków wszelkich lub, dzięki degresji, płacąc je w nader małym stopniu.

Dopiero ogólna pauperyzacja i katastrofa ekonomiczna stała się oczywistą, gdy klasy zamożniejsze przestały niemi być, przemysł i handel nie mając odbytu zaczęły się kurczyć i liczba bezrobotnych wzrosła do 400.000 ludzi.

Wówczas i niższe warstwy narodu zaczęły rozumieć, że jest jednak źle, skoro niema ludzi zamożnych w kraju. Do tego samego doświadczenia również przyszedł i Skarb Polski, skoro podatki coraz trudniej wpływały i największe nawet kary i represje nie wiele wycisnąć mogły i podatki coraz więcej zalegały.

Nie mogło to być inaczej, granice bowiem Państwa były wciąż na eksport zboża i do pewnego stopnia drzewa zamknięte, a naodwrót import wszelkich towarów, zboża i mąki nie był hamowany. Pieniądz szedł bez przerwy za granicę, a z powrotem do kraju nie wracał.

Tymczasem dzięki nieopatrznemu wprowadzaniu z dnia na dzień waluty nowej (o miljon ośmset tysięcy razy większej) drożyzna życia ogromnie wzrosła, bo najpierw o 100%, a następnie do 170%.

Ta drożyzna życia wymagała coraz większego obiegu pieniężnego, tymczasem działo się wręcz przeciwnie, mianowicie:

31. XII.	1924	w obiegu było biletów Banku Polskiego	550,874,000 zł.
30. VI.	1925	„ „ „ „ „	503,195,500 „
31. VIII	„	„ „ „ „ „	439,531,000 „
31. X.	„	„ „ „ „ „	382,434,000 „
31. XII.	„	„ „ „ „ „	381,425,000 „
20. I.	1925	„ „ „ „ „	354,312,000 „

Budżet państwowy na rok 1924 wzrósł do 1,852 miljonów, na rok 1925 do 2,165,900,000 zł.

Były to budżety nie liczące się ze stanem ekonomicznym Polski (dyskredytujące tych, którzy je przedkładali i zatwierdzali), przekraczały bowiem możność płatniczą ludności polskiej. Nierealnosć ich rzucała się w oczy, gdy zestawimy te cyfry z ilością biletów Banku Polskiego w obiegu. Życie potwierdziło tę nierealność budżetu, podatki zawodziły i Skarb był zmuszony łatać niedobory pożyczkami i wypuszczaniem zwiększonej ilości bilonu i biletów zdawkowych:

31. V.	1924	w obiegu bilonu i biletów zdawkowych	62,681,000 zł.
31. VIII.	„	„ „ „ „	123,124,000 „
31. I.	1925	„ „ „ „	139,344,000 „
31. V.	„	„ „ „ „	207,570,000 „
31. VIII.	„	„ „ „ „	306,149,000 „
30. IX.	„	„ „ „ „	a) 347,210,000 „
10. I.	1926	„ „ „ „	a) 370,041;000 „

Przyczem sumy oznaczone a) są w rzeczywistości większe, bo są za potrąceniem sum znajdujących się w kasach skarbowych. Jest to wybieg ministerstwa w celu ukrycia części wypuszczonego bilonu.

To zwiększenie obiegu bilonu i biletów zdawkowych wespół z inną jeszcze przyczyną, którą rozpatrzymy później, przyczyniło się do zachwiania się kursu złotego w lecie 1925 r.

Ustawa wydana w 1924 r. wzbraniająca pobierania więcej niż 24% w stosunku rocznym wcale nie ukróciła lichwy, lecz ulegalizowała ten procent i olbrzy-

mią krzywdę przyniosła Polsce, jej rolnictwu, przemysłowi i handlowi, wysokość bowiem odsetek tych uniemożliwia prowadzenie jakiegobądź przedsiębiorstwa lub gospodarstwa i musi doprowadzić do bankructwa. Tak się też i stało.

Ogólny brak pieniędzy, wysoki procent ulegalizowany dla banków, wreszcie podatki państwowe i samorządowe oraz świadczenia socjalne uniemożliwiły prowadzenie wszelkich interesów, to też wszystkie warsztaty pracy kolejno się zamykają, wszelkie budownictwo ustaje i ilość bezrobotnych wzrasta przerażająco prędko.

26. VII.	1924	było bezrobotnych	w Polsce			149,997
31. I.	1925	„	„	„		175,020
29. VIII.	„	„	„	„		184,910
26. XII.	„	„	„	„		302,253
1. III.	1926	„	„	„	około	390,000

Ministerstwo skarbu widocznie wcale się nie orjentując, jaką krzywdę wyrządza Polsce szeroko otwiera granice państwa na wszelki import towarów i rzeczy zbytku, prowadząc niby politykę obniżania cen w Polsce.

w 1922 r.	przywieziono	do	Polski	za	845,355,000	zł.
w 1923 r.	„	„	„	„	1,116,482,000	„
w 1924 r.	„	„	„	„	1,478,626,000	„
w 1925 r.	„	„	„	„	1,666,026,000	„

Pomimo tej polityki obniżania cen w Polsce koszt utrzymania stale wzrasta i ceny wszelkich towarów wciąż rosną (od 170 do 250%).

Rok 1914 = 100.

Ogólne koszty utrzymania w Warszawie:

Luty	1922	55,4	Sierpień	1924	134,7
Czerwiec		60,3	Styczeń	1925	144,6
Marzec	1923	79,0	Sierpień		148,5
Wrzesień		83,2	Listopad		157,2
Styczeń	1924	120.5	Styczeń	1926	170,0

Opał.

Marzec	1922	65,1	Wrzesień	1924	152,6
Czerwiec		71,3	Grudzień		163,9
Grudzień		75,1	Maj	1925	145,8
Maj	1923	93,9	Wrzesień		161,4
Sierpień		93,5	Listopad		157,2
Luty	1924	167,0	Styczeń	1926	170.0

Materjały, odzież i obuwie.

Styczeń	1922	100,7	Maj	1924	236,5
Czerwiec		108,9	Wrzesień		251,2
Kwiecień	1923	124,0	Maj	1925	188,3
Październik		136,3	Wrzesień		203,5
Styczeń	1924	186,7	Styczeń	1926	251,0

Żywność.

Styczeń	1922	77,1	Marzec	1924	155,4
Lipiec		74,4	Wrzesień		164,4
Luty	1923	80,9	Grudzień		186,9
Sierpień		94,8	Lipiec	1925	170,9
Grudzień		104,6	Styczeń	1926	191,1

Pozostałe.

Styczeń	1922	32,2	Maj	1924	149,0
Grudzień		54,7	Grudzień		172,0
Czerwiec	1923	50,7	Wrzesień	1925	178,7
Styczeń	1924	99,5	Styczeń	1926	196,2

Wzmożony import wszelkich towarów i zboża, jak powyżej widzieliśmy, nie mógł nie wywołać wzmożonego zapotrzebowania dewiz i walut zagranicznych i to w takim stopniu, że Bank Polski nie mógł pokryć tego zapotrzebowania i kurs złotego się zachwiał w lecie 1925 r.

Nie mogło to być inaczej, gdyż w ciągu szeregu lat stosowano politykę popierającą import (potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy) i hamowano eksport zboża i drzewa, popierając jedynie wywóz surowców i półfabrykatów kopalnianych i wyrobów przemysłowych. To też z wyjątkiem roku 1923, w którym wywóz przewyższył wwóz za 79,105,000 zł. wszystkie lata dały nadwyżkę wwozu nad wywozem:

rok	1922	na zł.	190,000,000
„	1924	„ „	212,516,000
„	1925	„ „	269,085,000

W 1924 r. wywieziono zboża i przemysłu rolnego za 557,394,000 zł. i pomimo to wwóz przewyższył wywóz ogólny o 269,085,000 zł.

Dzięki małej wydajności pracy w przemyśle, dzięki nader kosztownym świadczeniom socjalnym i wysokim podatkom (szczególnie obrotowy) państwowym, komunalnym i samorządowym, po części dzięki przestarzałym urządzeniom technicznym, a w olbrzymiej mierze dzięki brakowi kredytu i szczególnie wysokiemu oprocentowaniu jego, przemysł nasz produkuje nadzwyczaj drogo i nie mogą jego

fabrykaty konkurować z niemieckiemi, a nawet z angielskiemi i francuskiemi lub amerykańskiemi. To też i wywóz takich fabrykatów jest coraz nieznaczniejszy.

W wywozie produktów kopalnianych wielką rolę odgrywa węgiel, mianowicie—węgiel, lignit, koks i brykiety dały nadwyżkę wywozu nad wwozem:

w r. 1922	zł.	39,127,000
w r. 1923	„	318,567,000
w r. 1924	„	252,772,000
w r. 1924	„	153,272,000

Ale z wywozu węgla cieszyć się nie możemy, gdyż kosztuje nas węgla tonna 10 zł. 25 gr. (wydobycie i dostawa do granicy), a za tonnę otzymujemy od zagranicy 8 zł. 25 gr., a więc mamy bezwzględnie stratę 2 zł. na każdej wywiezionej tonnie węgla i niedobór ten obciąża niezmiernie rynek wewnętrzny polski, bo właściciele kopalń muszą tę stratę pokryć przez podwyższenie ceny na tym rynku.

A więc, jak widzimy, nie możemy liczyć, że z eksportu fabrykatów przemysłu naszego i z wywozu węgla Polska się wzbogaci.

Cóż zatem możemy z korzyścią dla siebie wywozić? Otóż wywozić z korzyścią dla Polski możemy zboże, drzewo i przetwory przemysłu rolnego i drzewnego.

Wywozić jaknajusilniej musimy to, czego wywóz dotąd polityka rządu hamowała i utrudniała, działając wręcz przeciwnie, jak Niemcy i Francja. Polityka ta — nazwać ją trzeba antyagrarna — była nieszczęściem dla Polski i najzupełniej zbankrutowała, doprowadzając do nędzy stopniowo wszystkie warstwy narodu polskiego. Ludność rolnicza stanowi w Polsce 70% i w nią przedewszystkiem mierzyła antyagrarna polityka rządu. Więc przez zamykanie granicy dla eksportu zboża lub przez stowanie ceł wywozowych prohibicyjnych z jednej strony, a przez otwieranie granicy dla wwozu mąki i zboża z drugiej obniżały się ceny systematycznie na zboże i produkty rolnicze. Wedle Gł. Urz. Statyst. do Polski wwieziono zboża i mąki:

w r. 1922	za	15,495,000	zł.
w r. 1923	„	23,067,000	„
w r. 1924	„	68,169,000	„
a w r. 1925	„	403,939,000	„

wwieziono płodów rolniczych i produktów przemysłu rolnego! I to do Polski, do kraju w $^3/_4$ rolniczego.

Prócz tego przecie trzeba być chyba ślepym, żeby nie widzieć, że się godzi w trwałość naszego złotego, prowadząc taką politykę!

W grudniu 1923 r. z mównicy sejmowej powiedział p. Premjer i Minister Skarbu, że ceny na płody rolnicze są w Polsce zbyt wysokie i że będzie dążył do ich obniżenia.

Na str. 113 rocznika 1924 r. Gł. Urz. Stat. czytamy, że w grudniu 1925 r.

za 100 kg. pszenicy płacono w Polsce 10 zł. 38 gr.
„ „ „ żyta „ „ „ 6 „ 66 „
„ „ „ jęczmienia „ „ „ 5 „ 99 „
„ „ „ owsa „ „ „ 5 „ 82 „

Powyższe zatem ceny miały być, ze słów p. Premjera sądząc, zbyt wysokie. Obecne ceny na zboże (Gł. Urz. Stat. III. 1926) w dolarach za 100 kg.

	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Owies
Poznań . .	4,83	2,58	2,82	2,68
Berlin . . .	5,91	3,45	4,20	3,71
Paryż . . .	5,67	3,83	—	3,95
Liverpool . .	6,55	3,78	6,04	4,38
Kopenhaga .	5,53	3,84	4,43	4,15

W złotych zatem ceny są w Poznaniu:

pszenica	100 kg.	38.64
żyto	„ „	20.64
jęczmień	„ „	22.56
owies	„ „	21,44

Przeszło trzy razy są ceny obecne wyższe, niźli ceny w grudniu 1923 r., a pomimo to rolnictwo jest w zupełnym upadku, ceny te bowiem nie mogą pokryć kosztów produkcji. Zdanie zatem p. Premjera było wypowiedziane lekkomyślnie, lecz, co gorsza, czynna polityka antyagrarna, ze strony przestępczo względem nawskroś rolniczej Polski stosowana doszczętnie, zniszczyła rolnictwo i rolników.

Zrujnowany rolnik, niepewny jutra, przestał stosować nawozy sztuczne i prowadzić zaczął gospodarstwo swe niedbale i niedołężnie, czasem rabunkowo. Wszystko się chyli ku coraz większemu upadkowi. Plony się zmniejszają i porównać ich nie można z plonami przedwojennemi.

Zrujnowany rolnik nie może myśleć o ulepszeniach i inwestycjach gospodarczych, nie ma pieniędzy na zakup maszyn i narzędzi rolniczych, na ubranie i obuwie.

Nędza i niedostatek u ludności rolniczej — czyli nędza i niedostatek wśród 70°/₀ ludności w Polsce — automatycznie wpływa na zastój w handlu i przemyśle i stopniowo dobrobyt zanika wśród ludności handlowej i przemysłowej.

Warsztaty pracy i fabryki się redukują, zamykają i bezrobocie zbliża się do przerażającej dla Polski ilości 400 tysięcy.

Przecież tylko 650.000 mamy robotników fabrycznych w Polsce.

Więc po rolnikach przyszła kolej na przemysłowców, którzy też doszli do rozpaczliwego stanu, gdyż z jednej strony prowadzić przedsiębiorstwa nie sposób bez straty, a zamknięcie jego narazi właściciela na niechybne bankructwo.

Kupcy nie w lepszem są też położeniu. Katastrofa na całej linji i katastrofa niechybna dla skarbu polskiego.

W taki to sposób zanalizowaliśmy przyczyny, które doprowadziły Polskę do obecnej katastrofy ekonomicznej.

Wymieńmy je krótko:

1) Życie państwowe nad stan. Zbyt rozrośnięte urzędy i ministerja. Wadliwy system biurokracyjno-administracyjny. Skutki — przerastający możność ekonomiczną budżet państwowy.

2) Zbyt wielka opieka socjalna, która nawet wyprzedziła potężniejsze i starsze państwa europejskie i przerasta siły ekonomiczne kraju.

3) Nadużycia, kradzieże i lekkomyślne trwonienie grosza publicznego.

4) Przerażający brak obiegowych środków płatniczych.

5) Wysokość legalnego procentu i brak długoterminowego kredytu w szczególności i kredytu wogóle.

6) Najważniejsza z przyczyn — zbrodnicza, względem rolniczego kraju stosowana, polityka agrarna.

Ażeby sobie uprzytomnić jaką poważną rolę odgrywa rolnictwo w Polsce, przytaczam porównawczą wartość na 1 mieszkańca produkcji 5 głównych płodów rolniczych:

I grupa	cena 1 kg.	na 1 mieszkańca kg.	złotych
Pszenica . . .	zł. 0,50	56	28,—
Żyto	„ 0,30	188	56,4
Owies	„ 0,30	94	28,2
Jęczmień . . .	„ 0,40	50	20,—
Kartofle. . . .	„ 0,04	914	36,56
			zł. 169,16

Porównawcza wartość produkcji w Polsce 4 głównych działów produkcji górniczo-hutniczej:

II grupa	cena 1 kg.	na 1 mieszkańca kg.	złotych
Węgiel	zł. 0,02	1366	27,32
Stal	„ 0,30	40	12,—
Żelazo surowe .	„ 0,20	30	6,—
Ruda żelazna . .	„ 0,016	13	0,21
			zł. 45,53

Widzimy zatem, że rolnictwo produkuje na 1 mieszkańca niemal czterokrotnie więcej niż górniczo-hutnictwo. W innych krajach Europy odpowiednie cyfry przedstawiają się, jak następuje:

	I grupa	II grupa
Niemcy . .	zł. 166,92	zł. 129,21
Francja . .	„ 182,96	„ 164,05
Anglja . . .	„ 55,64	„ 241,64

Zatem w Polsce wartość I grupy przewyższa wartość II grupy o 360%, w Niemczech o 28%, we Francji o 14%, w Anglji natomiast wartość II grupy przewyższa wartość I grupy o 440%.

Porównajmy dalej obszar zasiewany na 100 mieszkańców:

W Polsce . . .	46,5 ha
W Niemczech . .	20,2 „
We Francji . . .	33,9 „
W Anglji . . .	5,6 „

Wszystko powyższe wskazuje w czem tkwi główny interes ludności w Polsce. Nadwyżka produkcji zboża ponad konsumcję w roku 1925/6 po cenach obecnych wynosi około 1.121.000.000 zł.

Przy szerokiem stosowaniu nawozów sztucznych nadwyżkę eksportową moglibyśmy z łatwością podwoić, t. j. doprowadzić do 2.200.000.000 zł., a uwzględniając wywóz mięsa, trzody chlewnej, krochmalu, alkoholu i cukru conajmniej do 2.500.000.000 zł. Jeśli jeszcze do tej sumy dodamy 500 milljonów z możliwego eksportu drzewa w budulcu i deskach (ze 113.000 ha rocznych cięć), to dojdziemy do 3 miljardów, które z rolnictwa i leśnictwa rokrocznie musiałyby wpływać do Polski z zagranicy.

Uprzytomnijmy sobie tylko, co to za przewrót w stanie dobrobytu Polski wytworzyćby mogło. Mamy zaledwie obecnie około 770 miljonów złotych w obiegu (350 miljonów biletów Banku Polskiego i 420 miljonów bilonu i biletów zdawk.).

Przez stosowanie polityki agrarno-drzewno-eksportowej nadwyżka wywozu nad wwozem w Polsce mogłaby się wyrazić sumą 2 i pół do 3 miljardów złotych rocznie, co po jednym roku powiększyłoby obieg pieniężny conajmniej czterokrotnie. Dobrobyt zapanowałby przez rolnictwo w przemyśle i handlu i wpływ danin i podatków byłby zapewniony. Po paru latach stosowania takiej polityki ekonomicznej rozkwit Polski byłby nadzwyczajny. Wierzę niewzruszenie, że do tego wreszcie przyjść musi!

Mogą mi zarzucić, że przez stosowaniu wolnego eksportu zboża koszt życia znacznie wzrośnie. Na to odpowiem, że we Francji i w Niemczech z tem się nie

liczą, są bowiem wprowadzone cła importowe na zboże, czyli, że ceny na rynku wewnętrznym stale są sztucznie utrzymywane na wyższym poziomie pomimo to, że tu i tam niema samowystarczalności zboża i pomimo to, że we Francji jest 5 miljonów, a w Niemczech 8 miljonów robotników fabrycznych. U nas zaś mamy samowystarczalność produkcji zbożowej i pomimo taniości zboża, jak wykazaliśmy wyżej, całe życie w rolnictwie, przemyśle i handlu zamiera i Polska bankrutuje.

Wyznaję szczerze, że widzę w tem palec Opatrzności Bożej, że dotąd tej polityki agrarno-drzewno-eksportowej nie stosowały rządy w Polsce.

Wydaje się to napozór paradoksem.

Otóż śmiem twierdzić, że jeżeliby od 1921 r. polityka taka była uczciwie stosowaną, to dobrobyt, któryby niechybnie zapanował w Polsce, pozwalałby rządom naszym naznaczać i ściągać coraz to większe daniny i podatki; życie nasze państwowe rozrastałoby się jeszcze silniej niż obecnie i budżet doszedłby do 3 lub może 4 miljardów złotych.

Wszak na trwonienie niema granic!

Tymczasem stało się, że Polska bankrutuje obecnie na całej linji przy budżecie 2.500 do 1.700 miljonów zł.

Nastąpić musi operacja sanacyjna-oszczędnościowa, życie państwa z konieczności musi być włoczone w ramki budżetu miljarda do 1.200 miljonów, na więcej bezwarunkowo Polskę nie stać, i jeśli następnie polityka agrarno-drzewno-eksportowa ocali Polskę i szybko ją wzbogaci, będzie to już po radykalnem naszem — mam nadzieję — wyleczeniu z megalomanji i z systematycznego trwonienia grosza publicznego.

K. Niezabytowski.

Stosunki Rusi schizmatyckiej z Rzymem w połowie XIII wieku.

Stosunki Rusi ze Stolicą Apostolską nie ustały bynajmniej z chwilą ostatecznego wypowiedzenia się cerkwi ruskiej za schizmą wschodnią.

Z jednej strony Ruś w krytycznych momentach historji swojej, szukając oparcia na Zachodzie, zwracała się przedewszystkiem do naczelników zachodniego chrześcijaństwa, papieży, — z drugiej ci ostatni nie pomijali nigdy okazji, żeby nie

przypomnieć monarchom oraz przełożonym cerkiewnym ruskim tej jedności, która w myśl boskiego Mistrza kościoły chrześcijańskie łączyć powinna, i żeby nie posłać odpadłej córze ruskiej wezwania, aby do Macierzy katolickiej corychlej wróciła.

Właśnie w krótkim artykule niniejszym chcę przedstawić dwa epizody z dziejów Rusi średniowiecznej, obydwa będące w związku z sobą i chronologicznie do siebie zbliżone, a wypływające z jarzma, które skutkiem najazdu tatarskiego w latach 1237—1240 na Ruś spadło. W jednym z tych epizodów stroną czynnie i z inicjatywą występującą był wysoki dostojnik cerkwi ruskiej, w drugim inicjatywę dawała i zadzierżgnięcia stosunków próbowała Stolica Apostoska [1]).

I.

W dniach od 26 czerwca do 17 lipca 1245 r. odbywał w burgundzkiem mieście Ljonie papież Innocenty IV (1243 — 1254), słusznie jednym z największych papieży średniowiecza nazywany, trzynasty z rzędu sobór powszechny.

Sprawy omawiano na nim bardzo ważne, nietyle religijne, co polityczne, obchodzące najżywiej ówczesne Chrześcijaństwo. A więc: smutny stan, w którym się znalazła po najściu Chowarezmijczyków Ziemia Święta, sprawę imperjum łacińskiego na Wschodzie, rozbijający Europę i przykry niesłychanie spór cesarstwa z papiestwem, obronę Europy przed Tatarami, zagrażającymi wyniszczeniem całej kulturze zachodniej.

Udział w obradach brało około 200 biskupów całego chrześcijańskiego świata, przyczem najliczniejsi byli Francuzi i Hiszpanie. Między obecnymi źródła angielskie wymieniają i „arcybiskupa Rusi“ („archiepiscopus Ruthenus“, „archiepiscopus de Ruscia“), imieniem Piotra. Dostojnik ten nie znał ani łaciny, ani greki, ani języka hebrajskiego, konferował jednak z papieżem i Ewangelję świętą wykładał świetnie (p e r o p t i m e) przez tłumacza, udział zaś w nabożeństwach soborowych brał przystrojony w swoje odrębne, cerkiewne szaty liturgiczne.

Na Zachodzie znalazł się wypędzony z Rusi przez Tatarów i kołatający przeciw nim u papieża i książąt zachodnich o pomoc. Najwięcej interesują nas tutaj informacje, które udzielał soborowi o Tatarach.

Znał ich doskonale. Stykał się z nimi mniej lub więcej pośrednio, czy bezpośrednio nietylko za pierwszego i drugiego ich najazdu na Ruś, w latach 1223 i 1237 — 1240, ale także i później, w okresie pokojowych już rządów zdobywcy Rusi, naczelnika Ordy Kipczackiej, chana Batyja. Zapytany przez sobór o pocho-

---

[1]) Szerzej sprawy te omawiam w pracy mojej p. t.: „Niebezpieczeństwo tatarskie w poł. XIII w. i papież Innocenty IV”, Lwów 1922, 8⁰, str. 153.

dzenie Tatarów, religję, sposób oddawania kultu, życie domowe i obyczaje, siłę wojenną, liczbę, zamiary, dotrzymywanie zawartej ugody pokojowej, traktowanie obcych posłów dyplomatycznych, przechodzenie rzek i jezior, na każde z tych pytań dał odpowiedź krótką, ale dokładną i treściwą.

Była to pierwsza autentyczniejsza nieco i pewniejsza wiadomość, którą Zachód, na plenum soborowem zebrany, o Tatarach otrzymywał. Wszystko bowiem, co dotychczas o nich do Zachodu dochodziło, opierało się przeważnie na fałszywych pogłoskach, powstawało wśród zgiełku oręża, rzezi, ognia i rabunku, przez azjatyckich zdobywców szerzonego, a zatem nie mogło odpowiadać rzeczywistości, znajdowało zaś tem większy posłuch, im bardziej fantastyczną i najokropniejszą formę przybierało.

W jednem tylko błądzi w odpowiedzi swojej „arcybiskup“ Piotr, wyprowadzając Tatarów od starotestamentowych Madjanitów, rozpędzonych przez Giedeona i znajdujących schronienie aż na Dalekim Wschodzie.

Poza tym szczegółem, na konjunkturze biblijnej i zapewne nieporozumieniu, poplątaniu historji z plotką historyczną opartem, wszystko inne, co mówi, jest naogół prawdziwe i dziwnie zgadza się układem oraz treścią z napisaną dwa lata później relacją urzędową specjalnego wysłannika papieskiego do Wielkiej Ordy tatarskiej, Jana z Piano del Carpine. T. zw. „Historia Mongalorum“ tego ostatniego stara się odpowiedzieć na te same pytania, które były postawione Piotrowi, różnica zaś między obu informacjami jest ta tylko, że Jan del Carpine daje odpowiedzi obszerniejsze, więcej szczegółowe i umotywowane.

Na osobne uwzględnienie zasługuje pytanie, kim był „arcybiskup“ Piotr. Trudność polega na tem, że źródła ruskie nic o wysyłaniu, czy wyjeździe jakiegokolwiek hierarchy ruskiego na sobór ljoński nie mówią i wogóle w okresie drugiego najazdu Tatarów na Ruś nic o żadnym arcybiskupie, czy biskupie choćby, Piotrze, nie wiedzą. Wobec tego wysunięta została hipoteza, że Piotr był biskupem łacińskim *in partibus,* dla Rusi mianowanym. Temu jednak sprzeciwia zaznaczony wyżej fakt, że nie znał żadnego z używanych w kościele łacińskim języków.

Był więc „arcybiskup“ Piotr biskupem Rusi rzeczywistym, szukającym pomocy i unji na Zachodzie. Należałoby go tedy zidentyfikować albo z metropolitą Kijowa, podówczas nominatem jeszcze, Kiryłłem, albo z którymkolwiek z biskupów, północno lub wschodnioruskich, nieznanych z imienia, a więc: rjazańskim, który w czasie najazdu zbiegł przed Tatarami, lub biełgorodzkim, czy jurjewskim, których djecezje wskutek najazdu tatarskiego przestały istnieć, lub wreszcie z biskupem Perejasławia [1]) Symeonem, o którym wprawdzie głoszą zapiski, iż został przez Tatarów zabity, ale nie jest to ostatecznie stwierdzone i Symeon

[1]) Biskupi Perejasławia ongiś rościli pretensje do tytułu metropolitów.

mógł poprostu salwować się ucieczką, narazie zginął bez wieści, później zaś znalazł przyjęcie u papieża. W tym ostatnim wypadku, podobnie zresztą, jak i w przypuszczeniu z metropolitą Kiryłłem, imię Piotra byłoby albo nieporozumieniem, albo omyłką, albo drugiem i dla łacinników bliższem imieniem odnośnego hierarchy. Sprawa ta w każdym razie warta jest dokładniejszego zbadania i zasługuje na specjalną monografję.

II.

Wśród obszernej i różnorodnej bardzo korespondencji papieża Innocentego IV znajdujemy cały szereg listów, przeznaczonych dla Rusi południowo-zachodniej, której panowie ówcześni, książęta Daniel i Wasylko Romanowicze, kilkakrotnie nawiązywali pertraktacje z Rzymem w sprawie zawarcia unji kościelnej i uzyskania posiłków orężnych przeciw Tatarom. Obok tych listów zwracają uwagę naszą dwa inne jeszcze, ciekawe i znamienne, pisane do księcia północnego Nowogrodu, Aleksandra Newskiego. Wysłanie ich przez kurję papieską poprzedzały i towarzyszyły im następujące okoliczności:

W r. 1246 bawił na dworze wielkochańskim, aż pod Karakorum w Mongolji, specjalny wysłannik papieski, zakonnik reguły św. Franciszka, brat Jan z Piano del Carpine. Zadaniem jego było ni mniej ni więcej tylko skłonić wielkiego chana, aby z ludem swoim przyjął chrzest święty, zażądać odeń, by zaprzestał niszczycielskich wypraw na Europę, w najgorszym zaś razie wybadać dobrze stosunki tatarskie, przejrzeć plany Tatarów, ich siły i taktykę wojenną, aby w razie potrzeby móc się lepiej przeciwko nim bronić.

W obozie wielkochańskim zastał Piano del Carpine wielu innych posłów, a nawet i władców państw obcych, Tatarzy bowiem mieli we zwyczaju książąt ziem, przez siebie zdobytych, wzywać na dwór wielkochański, tym, którzy się okażą im powolnymi, dawać jarłyki na sprawowanie rządów, niewygodnych zaś przy tej okazji w ten lub inny sposób, często nawet skrytobójstwem, usuwać. Między obecnymi był i ojciec Aleksandra Newskiego, książę Jarosław Suzdalski Przybył z hołdem lenniczym do wielkiego chana, inaczej bowiem wobec oczywistej przewagi tatarskiej postąpić nie mógł, w duszy jednak buntował się przeciw narzuconemu sobie jarzmu.

Jan del Carpine wyrozumiał doskonale nastroje wewnętrzne księcia, a obcując z nim często, omawiał skrycie plany wspólnej z całym Zachodem akcji przeciw Tatarom, zdołał nawet uzyskać od księcia uroczystą, wobec świadka, jednego z dworzan ruskich, złożoną obietnicę, że się książę pojedna z Kościołem rzymskim. Niestety, obietnicy tej nie zdołał już książę Jarosław wykonać. Podstępnej dyplomacji tatarskiej udało się widocznie przeniknąć projekty księcia, a może tylko

mało mu ufano, dość, że wkrótce Jarosław nagle na dworze tatarskim życie zakończył. Tatarzy, jak twierdzi stanowczo Jan del Carpine, najzwyczajniej w świecie go otruli.

Otóż, co nie było danem urzeczywistnić ojcu, papież Innocenty IV postanowił doprowadzić do końca z synem, Aleksandrem Newskim. Mianowicie w początkach listopada 1247 r. wrócił od Tatarów do papieża Jan del Carpine. Zdając relację szczegółową z poselstwa swego, opowiedział papieżowi zarówno o projekcie zmarłego księcia Jarosława, jak i o zamiarze wielkiego chana tatarskiego, urządzenia nowej w najbliższym czasie wyprawy wojennej na Europę, do której to wyprawy już nawet wojska i wodzowie byli wyznaczeni.

Zaniepokojony tą wiadomością papież, krząta się około utworzenia przeciw Tatarom koalicji książąt ruskich i państw z Rusią sąsiadujących. Pisze więc w dniu 22 stycznia 1248 roku do Daniela i Wasylka, aby, skoro usłyszą, że wojska tatarskie kierują się ku Zachodowi, powiadomili natychmiast Zakon Krzyżacki. Następnego dnia stosuje list podobnej treści do Aleksandra Newskiego, któremu znowu poleca donieść o zbliżających się Tatarach inflanckim Kawalerom Mieczowym.

Przy tej okazji napomina papież Aleksandra, aby spełnił obietnicę ojcowską, uznał Kościół rzymski za matkę swoją i razem z ludem poddanym uległ zwierzchnictwu Stolicy Apostolskiej. Stawia mu przed oczy, że ojciec jego byłby bez najmniejszej wątpliwości dotrzymał przyrzeczenia, gdyby mu niespodziewana śmierć nie przeszkodziła.

Aleksandrowi, jak widać, uśmiechała się ta myśl łączności z Zachodem, już bowiem w końcu mniej więcej sierpnia tegoż 1248 r. zakomunikował papieżowi legat Stolicy Apostolskiej dla spraw ruskich, arcybiskup Prus i Liwonji, Albert, że Aleksander gotów jest przyjąć unję z Rzymem, co więcej, zamierza wybudować w zajmowanym przez siebie Pskowie katedrę biskupią łacińską. Papież w odpowiedzi swojej z 15 września t. r. z radością przyjmuje wiadomość o tych zamiarach Aleksandra Newskiego, zachęca go do wytrwania, zapowiada mu osobistą u niego wizytę legata, którego winien z największym szacunkiem i najłaskawiej przyjąć.

Jak widzimy z listu tego, Stolica Apostolska niekłamaną w owym czasie żywiła nadzieję zakończenia, przynajmniej co do jednej części społeczeństwa ruskiego, nieszczęśliwej schizmy, która bez żadnej głębszej i uzasadnionej przyczyny, a tylko skutkiem wygórowanej ambicji niektórych ponad miarę upartych i ciasnych jednostek rozerwała świat chrześcijański na dwa wrogie i zwalczające siebie obozy: wschodni i zachodni. Twarda atoli rzeczywistość miała okazać, że nadzieja ta była ułudą tylko.

Myśli wszelkiej o unji przeciwstawiło się zazdrosne o wpływy swoje naczelne duchowieństwo ruskie. Sam zresztą Aleksander skłaniał się do unji nie tyle z pobudek ideowych, co z politycznych raczej, te zaś przekonały go wkrótce, że

na pomoc wydatniejszą z Zachodu niema co liczyć, że zatem należy i bezpieczniej będzie z Tatarami narazie nie zrywać, owszem oprzeć panowanie swoje na Tatarach.

Rezultat był taki, że w tym samym mniej więcej okresie, kiedy kancelarja papieska wysyłała do księcia wzmiankowany przez nas drugi list Innocentego IV, Aleksander Newski udał się z homagjum do Wielkiej Ordy tatarskiej i aż do końca rządów swoich (do 1263 r.) pozostawał najwierniejszym wasalem Mongołów.

Ks. dr. Józef Umiński.

„Czy można socjalizm pogodzić z katolicyzmem?"

W styczniowym i lutowym numerze „Przeglądu Powszechnego" ks. Jan Urban poruszył problem bardzo ciekawy, dotychczas bodaj w Polsce nie rozpatrywany: „Czy można socjalizm pogodzić z katolicyzmem?"

Punktem wyjścia dla autora jest fakt nawrócenia się na katolicyzm znanego socjalisty, dr. Jodko-Narkiewicza, który pisał na łożu śmierci do towarzyszy partyjnych, że socjalizm z katolicyzmem potrafił w sobie pogodzić, że „związał" — jak się wyraził — „te dwa najpotężniejsze dążenia ludzkości". Wychodząc z tego faktu, autor artykułu stara się odpowiedzieć na zagadnienie, postawione w sposób tak życiowy przez umierającego działacza socjalistycznego.

Najzupełniej możemy się zgodzić z tą częścią wywodów Ks. Urbana, w której rozpatruje socjalizm współczesny, wykazując jego materjalistyczny i antyreligijny charakter, przedstawiając w sposób plastyczny, ilustrowany licznemi cytatami i faktami — wyraźny i zdecydowany ateizm, tkwiący u podłoża marksizmu.

Na tem jednak autor nie kończy swoich rozważań, lecz pod koniec pierwszej części swego interesującego artykułu stawia sprawę w sposób następujący:

> „My stawiamy pytanie: czy umierającemu socjaliście nie ukazała się wizja socjalizmu innego, mogącego zatrzymać swą nazwę, a dającego się pogodzić z katolicyzmem? Czy socjalizm, jakim on sam się określa obecnie przez usta swych myśliciele, jakim go znają jego badacze i analitycy w rodzaju Sombarta, jakim go doświadczamy w naszych, z nim stosunkach życiowych, jest takim spetryfikowanym systemem, który nie może dopuścić przypływu żadnych idei, któreby go zbliżyły do religji? Czy jest jakimś granitowym monolitem, którego żadna myśl nietylko nie rozbije, ale nawet ociosać nie zdoła? Innemi słowy czy wolno tracić wszelką nadzieję na uchrześcijanienie współczesnego socjalizmu?...

W drugiej części artykułu autor odpowiada pozytywnie na postawione pytanie. Czytamy zaraz na wstępie:

> „Że wyeliminowanie ze współczesnego socjalizmu jego ateistycznej ideologji, jest absolutnie możliwem, tego chyba nie potrzeba dowodzić. Chodzi w gruncie rzeczy o pewną ideową rewolucję w szeregach socjalistycznych, lecz czyż nie zna historja ideowych rewolucyj, które zaszczepiła cały świat nowych pojęć całym grupom i narodom?"

W tem miejscu musimy sobie zadać pytanie, w jaki sposób autor tej — po raz pierwszy może w Polsce z taką śmiałością wygłoszonej tezy — pojmuje ideologję, ruch, jednem słowem całokształt pojęć i faktów, zwany socjalizmem. Na objaw tego rodzaju można patrzeć z rozmaitych punktów widzenia. Jeżeli staniemy na stanowisku czystej abstrakcji i spekulacji ideowej — to będziemy mieli kilka zasadniczych tez, wytworzonych i uzasadnionych przez Marksa. Drogą ciekawych ćwiczeń umysłowych będziemy mogli wówczas oderwać od całokształtu doktryny socjalistycznej zasadę materjalistycznego poglądu na dzieje, walki klas i rewolucji społecznej, pozostawiając tylko w probówce naszej wyobraźni — nagą doktrynę utopijnego państwa socjalistycznego. Nie możemy oprzeć się wrażeniu, że Szanowny Autor pod tym właśnie kątem widzenia rozpatrywał stawiane przez siebie zagadnienie.

Trudno nie zauważyć, że nietylko socjalizm, ale każda wogóle doktryna, rozpatrywana pod tym kątem widzenia, da się bardzo łatwo spreparować w retorcie naszych dociekań abstrakcyjnych do użytku Chrystjanizmu. Czy jednak idea chrześcijańska będzie miała jakąkolwiek korzyść z tego rodzaju oderwanych spekulacyj? Wątpimy.

Dlatego też musimy spojrzeć na socjalizm z innego punktu widzenia, bardziej życiowego i realnego. Jest on nietylko doktryną, której poszczególne tezy dadzą się zastąpić, czy zamienić innemi, lecz jest przedewszystkiem i to w pierwszym rzędzie ruchem społecznym, t. j. siłą, dodajmy: siłą bardzo poważną i niebezpieczną, działającą na terenie współczesnego społeczeństwa w pewnym określonym kierunku. Dlatego też, chcąc wykazać, że „wyeliminowanie ze współczesnego socjalizmu jego ateistycznej ideologji jest absolutnie możliwem" — nie wystarczy zapuścić się w sferę dociekań abstrakcyjnych, lecz trzeba powołać się na pewne fakty, wskazujące, iż ewolucja socjalizmu postępuje w kierunku chrześcijańskim.

Dla ścisłej bezstronności musimy zaznaczyć, że w artykule Ks. Jana Urbana są ślady tego rodzaju usiłowań. Oto autor streszcza i cytuje poglądy współczesnego przywódcy Labour Party, zawarte w książce p. t. „Socjalizm i społeczeństwo", które mają wykazać rzekomą ewolucję socjalizmu ku katolicyzmowi.

Dowiadujemy się więc z cytat z książki Macdonalda, że tak, jak inni rewizjoniści socjalizmu, a może nawet i w większym stopniu, krytykuje on wartość

niektórych poglądów Marksa, a jego samego umieszcza tylko na progu socjologji naukowej. Będąc zwolennikiem teorji ewolucji, nie uznaje Macdonald idei walki klas, tak jak pojmował ją Marks i stwierdza słusznie, że sprzeczność interesów może istnieć także między samymi robotnikami i kapitalistami. Pozatem, w przeciwieństwie do Marksa, uznaje on i podkreśla znaczenie czynników moralnych w społeczeństwie. Mimo tak krytycznego stanowiska do teorji Marksa, Macdonald pozostaje socjalistą, gdyż wierzy w urzeczywistnienie ustroju socjalistycznego, który, według niego powstanie ewolucyjnie przez zapłodnienie współczesnych stosunków społecznych ideą socjalistyczną.

Rzecz charakterystyczna. Ten idealizm, który tak jaskrawo odróżnia w teorji Macdonalda od Marksa i jego zwoleników, który każe mu oprzeć wizję przyszłego państwa socjalistycznego głównie na propagowaniu idei — nie przeszkadza mu wcale bardzo trzeźwo i realnie zapatrywać się na stosunki współczesne i widzieć w każdem posunięciu na terenie polityki gospodarczej, w każdej reformie socjalnej krok naprzód w kierunku zrealizowania ustroju socjalistycznego. Ten kompromis ze stosunkami współczesnemi, z ustrojem parlamentarnym jest ogólną cechą rewizjonizmu zarówno w Anglji, jak i na kontynencie. Zapytujemy czy w praktyce stanowisko Macdonalda nie jest identyczne ze stanowiskiem rewizjonistów, uznających jeszcze autorytet Marksa, których sam autor artykułu krytykuje w słowach następujących:

> Podczas gdy deklamuje się o rewolucji, w praktyce uprawnia się parlamentaryzm, który jest jej zaprzeczeniem... wchodzi się z kapitalizmem w przetargi, zyskuje lepsze warunki bytu dla robotników, co zmniejsza rewolucyjny ich nastrój i rewolucję wciąż oddala".

To charakterystyczne podobieństwo metod stosowanych w praktyce zarówno przez Macdonalda, jak i przez Marksistów, wskazuje, że życie przeszło do porządku dziennego nad doktryną Marksa. Co więc pozostało z socjalizmu? Pozostał potężny ruch społeczny, pozostała siła poruszona i wytworzona przez Marksa, a skorygowana następnie przez inne siły współcześnie działające. Życie bowiem przeszło do porządku dziennego nad utopijnemi koncepcjami i wtłoczyło socjalizm w ramy współczesnych stosunków gospodarczych, zmuszając go do rewizji pewnych, nieżyciowych tez i poglądów. Na tem tle powstał rewizjonizm, którego jedną ze szkół stanowi Macdonald.

Stwierdzamy jednak z całym naciskiem, że cała ta rewizja dotyczy wyłącznie strony gospodarczo-socjologicznej, a nie ideowo-religijnej. Chodzi tutaj o stwierdzenie, o przyznanie, że koncepcje socjologiczne Marksa, dotyczące sposobu powstania państwa socjalistycznego nie wytrzymują współczesnej krytyki naukowej i muszą być zmienione. Jak? Macdonald zastępuje je teorją ewolucji, która według niego doprowadzi nieuchronnie do wymarzonego państwa socjalistycznego,

skoro tylko zapłodni stosunki współczesne... idea socjalistyczna, Jaka? Po odrzuceniu balastu Marksa — idea wymarzonego państwa socjalistycznego, idea zniesienia prywatnej własności drogą ewolucji. Sombart woła: „Für uns Ziel nichts, Bewegung alles". W praktyce obydwaj zgadzają się, że należy dążyć do opanowania państwa współczesnego i kierowąnia nim. A gdy dojdą do władzy — co będzie z rodziną, co będzie ze szkołą, co będzie ze stosunkiem Kościoła do Państwa?

Wszak cały rewizjonizm obraca się wyłącznie w dziedzinie ekonomji i socjologji. Żadnych zmian religijno-moralnych nie widać. Niech Szan. Autor wskaże jakąkolwiek zmianę w tej dziedzinie. Idealizm Macdonalda nie ma nic wspólnego z Chrystjanizmem. W książce Macdonalda niema ani jednego zdania, w którymby autor zrywał z ateizmem, tkwiącym u podłoża socjalizmu. A przecież tego rodzaju zerwanie musiałoby być jasne, wyraźne i niedwuznaczne wobec zdecydowania ateistycznego charakteru socjalizmu. Wogóle całe wywody Macdonalda abstrahują od religji i nie mają z nią nic wspólnego.

Nie możemy się również powstrzymać od uwagi, że po wojnie światowej nastąpiła w Anglji zupełna zmiana stosunków gospodarczych i socjalnych, która nie może się nie odbić na poglądach działaczy i teoretyków ruchu robotniczego. Wprawdzie Macdonald pisze w przedmowie do francuskiego wydania swojej książki, że podczas wojny i rewolucji bolszewickiej nie zaszło nic nowego, coby go mogło skłonić do zmiany dotychczasowych zapatrywań, lecz słowa te należy położyć na karb znanego konserwatyzmu angielskiego, który zmienia teorję dopiero po zmianach dokonanych w praktyce. Nie ulega wątpliwości, że klęska bezrobocia, która dotknęła Anglję, będzie zwiększała w dalszym ciągu i jeszcze chyba przez dłuższy czas antagonizmy społeczne i w żaden sposób nie może wpłynąć dodatnio na poglądy przywódców Labour Party. Jest więc rzeczą conajmniej wątpliwą, czy ta słaba iskierka, którą nam ukazał Ks. Jan Urban w postaci poglądów socjologicznych Macdonalda może się stać tym oczekiwanym przez niego „lux ex Occidente" dla współczesnego socjalizmu.

I jeszcze na jedną rzecz musimy zwrócić uwagę. Oto Ks. Jan Urban, rozpatrując socjalizm angielski i wogóle zachodnio-europejski zapomniał zupełnie o komuniźmie. Nie zaprzeczamy bynajmniej, że doktryna Marksa, otarłszy się w ciągu lat kilkudziesięciu o zdobycze współczesnej wiedzy i panujące w społeczeństwie pojęcia kultury chrześcijańskiej uległa pewnej ewolucji, czy możemy jednak z drugiej strony zapominać, że zrodziła ona na wschodzie Europy bolszewizm, będący wykwitem i konsekwencją doktryny Marksa, że punkt ciężkości socjalizmu przeniósł się na ten potworny system, który zdobywa obecnie i w Europie zachodniej coraz więcej zwolenników, wśród socjalistów konsekwentnych, propagujących czysty socjalizm bez żadnych domieszek i kompromisów. I jeżeli

z jednej strony mamy idealistyczne poglądy Macdonalda, który rezygnuje z materjalistycznego poglądu na dzieje i z Marksowskiego pojęcia walki klas — to z drugiej strony mamy w Rosji szereg faktów i zbrodni wołających o pomstę do nieba, mamy cały system polityczny, zdążający do zniszczenia wszelkiej religji, do wyrwania jej z korzeniami z duszy narodu, poczynając od dziecka. Czy fakty te mniej przemawiają do przekonania Szan. Autora, aniżeli przedwojenna książka Macdonalda, że uważa on za właściwe wyeliminować z retorty swoich dociekań cały komunizm rosyjski wraz z wpływami, które zdobywa wśród socjalizmu europejskiego?

Bardzo dokładnie i drobiazgowo zajmuje się autor zagadnieniem prywatnej własności. Wykazuje on i uzasadnia bardzo trafnie, że prawo własności nie jest wcale z punktu widzenia katolickiego dogmatem, lecz raczej wypływa z prawa naturalnego, że katolicyzm nie stoi na stanowisku rzymskiego pojęcia iuris abutendi, że ustrój kapitalistyczny nie jest wcale zgodny z nauką Kościoła, gdyż prowadzi do wyzysku i braku równowagi gospodarczej, że wobec tego „uświadomieni katolicy“ dążą również do przeobrażenia tego ustroju drogą reform socjalnych i w dążeniu tym „spotykają się z socjalizmem, różniąc się tylko w wyborze dróg“, że „socjologja katolicka... potępiając kradzież i grabież prywatnego mienia, nie może potępić pewnych środków, nawet przymusowych, ze strony państwa w celu racjonalniejszego i bardziej dobru ogólnemu odpowiadającego rozdziału tej ziemi, którą Stwórca natury przeznaczył na żywienie wszystkich“ i t. d.

Jednem słowem Ks. Jan Urban wypowiada cały szereg tez, wziętych z doktryny chrześcijańsko-społecznej, nie wymieniając jednak w żadnem miejscu źródła, z którego czerpie. Wolno mu to czynić, gdyż tezy te są własnością wszystkich konsekwentnych katolików.

Lecz Szanowny Antor posuwa się jeszcze dalej na tej drodze i wogóle w swoich rozważaniach nie bierze pod uwagę ideologji i ruchu chrześcijańsko-społecznego, co jaskrawiej widać np. w zdaniu:

> „...można zaryzykować proroctwo, że socjalizm nie urzeczywistni nigdy na trwałe swej wizji przyszłości w całej rozciągłości, z drugiej strony wszakże trudno obiecywać liberalizmowi ekonomicznomu trwałe panowanie jego teorji. Zarówno z obserwacji życia, jak się ono rozwija, jek i z rozważania zasad o własności prywatnej, jakie nam podaje nauka katolicka, można przepowiedzieć, że zrealizowany zostanie częściowo pewien socjalizm, ale rozszerzy się także posiadanie prywatne, każde w swoim zakresie i we własnej dziedzinie.“

Innemi słowy między liberalizmem i socjalizmem autor nie dostrzega Chrześcijańskiej Demokracji, a cytując zasady chrześcijańsko-społeczne nazywa je „nauką katolicką“ przez co ignoruje istnienie kierunku chrześcijańsko-społecznego, gdyż nauki Kościoła z żadnym kierunkiem społeczno-gospodarczym identyfikować nie można.

Czyżby autor nie znał Encykliki „Rerum Novarum“, albo też nie wiedział o istnieniu na całym świecie potężnego ruchu społecznego, który w niektórych krajach odnosi zwycięstwo nad socjalizmem? Nie chcemy tego przypuszczać. Pozostaje więc druga hipoteza: Wspominanie o ruchu chrześcijańsko-społecznym przeszkadzałoby autorowi w jego rozważaniach. Cała konstrukcja artykułu jest ściśle teoretyczna i abstrakcyjna. Czy można się więc dziwić, że tak potężny objaw życia, jakim jest ruch chrześcijańsko-społeczny załamywałby linję rozumowania, psuł szyki i wypaczał spekulacje intellektualne autora? Poszedł on więc po linji najmniejszego oporu i abstrahował od intruza...

Tem nie mniej jednak ruch chrześcijańsko - społeczny jest i będzie niewątpliwie dostatecznie poważnym czynnikiem, abyśmy rozpatrując omawiane zagadnienie, wzięli je również pod uwagę.

Zadaniem i celem ruchu chrześcijańsko-społecznego jest „instaurare omnia in Christo” na terenie stosunków publicznych. Spotyka on na swej drodze socjalizm i walczy z nim, nietylko w dziedzinie gospodarczo-socjalnej o metody i sposób przeprowadzenia reform społecznych, lecz także we wszystkich prawie innych dziedzinach życia państwowego, jak stosunek Kościoła do Państwa, szkolnictwo, ustawodawstwo małżeńskie, polityka wewnętrzna, ustrój państwowy etc.

I tu jeszcze raz przypominamy Szanownemu Autorowi, że socjalizm nie jest tylko doktryną, lecz jest żywym ruchem, siłą potężną, działającą na terenie społeczeństwa, siłą ujemną, wywierającą wpływ demoralizujący na masy i wogóle całe społeczeństwo.

Kierunek rewizjonistyczny istniejący w socjalizmie już od kilkudziesięciu lat zmienił wprawdzie i dostosował do wymagań współczesnej socjologji i ekonomji pewne tezy Marksa. Główny jednak kierunek ruchu, jego zasadnicze tendencje skierowane przeciwko Kościołowi i religji, pozostały dotąd w całej rozciągłości. Jak dotychczas, tak i nadal socjalizm jest ideją, a nawet więcej — socjalizm usiłuje być religją poważnego odłamu społeczeństwa, zarówno inteligencji, jak i mas ludowych, które pcha do upadku i demoralizacji.

Zapytujemy Szanownego Autora, jaka metoda w tych warunkach jest lepsza, bezpieczniejsza, rozważniejsza? Czy liczyć na nagłą zmianę w socjaliźmie, tak radykalną, szybką i niedwuznaczną, że może dojść do porozumienia, a nawet zbliżenia między katolicyzmem a socjalizmem, co jest rzeczą przynajmniej niepewną, a w każdym razie muzyką dalekiej przyszłości, czy też, opierając się na obecnym stanie faktycznym, podjąć energiczną walkę z doraźnem niebezpieczeństwem jakim grozi socjalizm i komunizm kulturze chrześcijańskiej.

Pocóż mamy drogą abstrakcyjnych spekulacji tworzyć sobie pojęcie jakiegoś urojonego socjalizmu przyszłości bez walki klas, bez podłoża materjalistycznego, gdy mamy przed oczyma potężny, rozwijający się coraz bardziej ruch chrześcijań-

sko-społeczny, który wsparty korzeniami o doktrynę jednego z największych filozofów świata, Św. Tomasza z Aquinu, zawiera w całokształcie swojej ideologji wszystko to, co jest słuszne i trwałe w socjalizmie. Socjalizm nie jest napewno żadnym „granitowym monolitem“ niezdolnym do ewolucji i przeobrażenia, lecz żeby „myśl religijna“ go rozbiła, lub „ociosała“, na to trzeba jeszcze długiej walki, długiego zmagania się z jego dotychczasowemi tendencjami i wpływami, a walkę tę skutecznie może przeprowadzić tylko ruch chrześcijańsko-społeczny, o którym Ks. Jan Urban zapomina w swoich abstrakcyjnych rozważaniach.

A przecież nie wolno zapominać, że znajdujemy się w Polsce w momencie ostrego i ciężkiego zmagania się o przyszły ustrój, prawodawstwo, instytucje Rzeczypospolitej, które zbudowane w taki, czy inny sposób, dadzą przewagę i podstawę do rozwoju ruchowi katolickiemu lub socjalizmowi. Wszak ruch chrześcijańsko-społeczny obecnie robi w Polsce wielkie wysiłki, aby wciągnąć inteligencję i masy do swych szeregów i wytworzyć silną i zwartą opinję katolicyzmu, walczącego o swoje prawa i zwyciężającego, aby masy ludowe oderwać od destrukcyjnych i międzynarodowych wpływów socjalizmu.

Wysiłki te tylko z częściowem spotykają się powodzeniem. Brak bowiem dotychczas wśród naszej inteligencji katolickiej—energji i siły moralnej, szerzy się wśród niej indyferentyzm ideowy i religijny, zbyt daleko idąca kompromisowość, brak konsekwencji w myśleniu i w reagowaniu na zjawiska natury społecznej. Bodaj, że jedynie w Polsce jesteśmy świadkami dziwnej niekonsekwencji. Oto ludzie, uważający się za katolików i spełniający nawet praktyki religijne, grawitują mocno ku socjalizmowi, nie zdając sobie sprawy, z roli, jaką odgrywa socjalizm w życiu publicznem, lub też zamykając oczy na wypływające z niego konsekwencje. Prócz tego mamy ogromną masę ludzi chwiejnych, bez ideowego kośćca pacierzowego, którzy skłaniają się i chwieją ku socjalizmowi, porwani jego energją i siłą. Czy w tych warunkach wolno działaczowi katolickiemu wysuwaniem mętnych i abstrakcyjnych zagadnień męczyć i trapić polską opinję, zwiększać jeszcze istniejący chaos błędnych pojęć i zapatrywań i rozgrzeszać niejako jednostki słabsze, mniej pewne, grawitujące ku socjalizmowi?

Odnosimy, niestety, wrażenie, że Szanowny Autor w swoich rozważaniach, niewątpliwie ciekawych i oryginalnych z punktu widzenia czysto abstrakcyjnego — poszedł po linji najmniejszego oporu, po linji tych kompromisowych, chwiejnych i indyferentnych nastrojów, które nurtują w łonie całego społeczeństwa, a przez to, działając zresztą w jaknajlepszej wierze — złą wyrządził przysługę, wzrastającemu w Polsce i mobilizującemu się do walki wielkiemu obozowi katolickiemu.

Stefan Kaczorowski.

KORESPONDENCJE.

Paryż, w kwietniu.

Wiele jest racyj, dla których zapoznanie się z istotnym stanem Francji współczesnej wydaje się być rzeczą niezbędną. Przemawiają za tem nietylko względy sojuszu politycznego, czy też wspólność kultury. Najważniejszym jest fakt, że Francja od pewnego czasu była i jest terenem nieomal prześladowań religijnych, że mimo to, elita katolicka nie ustaje w swej pracy — rechrystjanizacji Francji. Chociaż środowisko i atmosfera inne są niewątpliwie niż w Polsce, to jednak tu i tam walczyć nam wypada z tym samym przeciwnikiem.

Pierwszem zjawiskiem, uderzającem na pierwszy rzut oka w życiu publicznem, jest niesłychana płynność organizacyj, partyj i stronnictw, oraz ich przedstawicielstw parlamentarnych. Poza „Action Française" oraz socjalistami i komunistami, żadne z ugrupowań politycznych nie rozporządza własnym organizmem partyjnym, nie posiada ani oddziałów prowincjonalnych, ani kół miejscowych. Kluby parlamentarne są często w kłopocie, gdy chodzi o obliczenie sił własnych lub cudzych, dodać zaś trzeba, że zjawisko dyscypliny organizacyjnej, podporządkowania się uchwale większości jest rzadkim wyjątkiem potwierdzającym ogólną regułę.

Programy partyjne są zjawiskiem również często zmieniającem się, jak ogólnikowem, przyczem zwykle uwzględniają one chwilę bieżącą, będąc przygotowane jedynie *ad usum* wyborców. Stąd też chcąc znać choćby wytyczne programu jakiegokolwiek ugrupowania, należy zapoznać się z przekonaniami jego leadera.

Wszystko to sprawia, że kwestja polityki wewnętrznej, zagranicznej, sprawy partyjne, są szczególnie skomplikowane i nigdy nie mogąc być dość ostrożnym w wyborze źródeł informacji, zawsze jednak oczekiwać można niezwykle rewelacyjnych wynurzeń szefów partji.

Co jest powodem takiego stanu rzeczy, i jak należy go tłumaczyć? Jedni twierdzą, że jest to objaw wyższej kultury politycznej, inni dopatrują się w nim objawów „złośliwej i przewlekłej" parlamentaritis, pewnem jest jednak, że powyższe warunki nie sprzyjają wydajnej pracy parlamentu, oraz wykluczają możliwość utworzenia stałej większości. Na tem tle jasnem się staje, dlaczego Palais-Bourbon pada ciągle ofiarą mniej lub więcej udatnych dowcipów i dlaczego, co ważniejsze, każde wybory (uzupełniające) przynoszą coraz większy odsetek wstrzymujących się od głosowania, coraz bardziej powiększają szeregi antiparlamentarne. I to nietylko wśród „maluczkich", ale wśród inteligencji. „Temps", dziennik elity intelektualnej, niemal półurzędowy organ, raczej radykalny, rzucił niedawno myśl zwołania

Kongresu Narodowego, przedstawicieli wszystkich organizacyj społecznych, gospodarczych, intelektualnych, obywatelskich, zjednoczonych dla ratowania porządku i „drapeau tricolore". Chociaż zastrzega się przed posądzaniem o chęć stworzenia super-parlamentu, to jednak stwierdzić należy, że, stanowiąca integralną część programu „Action Française" idea „Stanów Generalnych" zrobiła wielkie postępy.

Pomimo wszystko jednak, ten, słusznie czy nie słusznie, wyśmiewany parlament, zasługuje na chwilkę uwagi.

Tak zwana „prawica", stronnictwa umiarkowane, które niegdyś tworzyły „Blok Narodowy", składają się w tej chwili z kilku grup i choć niewiadomo właściwie gdzie się kończy, powiedzieć można ogólnie, że jest to zbiorowisko ludzi, których łączy jakaś nić „niewidzialna". Bo na prawdę, zdaje mi się, że byłoby bardzo niewiele kwestyj, w których członkowie tej „prawicy" okazaliby się jednomyślni.

Chyba jedna zasada: własności prywatnej, jednoczy te wszystkie grupy i grupki. Bo o nacjonalizmie nie słychać nic, kwestje religijne, religja katolicka znajduje bardzo mało szczerych a bezinteresownych obrońców, wreszcie polityka finansowa nie jest również uzgodniona. Obecnie może, pod wpływem ciężkiej sytuacji ogólnej i częstych wyborów uzupełniających, szczególniej grupa Louis Marin'a ujawnia żywą działalność. Na terenie kraju znajduje prawica poparcie w t. zw. „ligach", a więc „Liga Patrjotów", „Liga Obywatelska", „Liga Republikańsko-Narodowa" i w. in. Rzecz prosta, że organizacje przemysłu, handlu i rolnictwa, grupujące kapitał, odnoszą się również życzliwie do grup, stojących na straży własności prywatnej.

Rolę „centrum" odgrywa coraz to inna partja. Raz są to „radykali społeczni", którzy niegdyś wchodzili do Bloku Narodowego, raz „republikanie lewicy" czy też „lewica niezależna". Tu już zaczyna się wyraźny antyklerykalizm, który często bywa jedynym cementem zlepiającym centrum z lewicą. Dalej idą grupy równie efemeryczne, jak nieokreślone, z nich niektóre (nawet na lewicy) uznają (przynajmniej teoretycznie) własność prywatną, wreszcie dochodzimy do socjalistów, najliczniejszej i najlepiej zorganizowanej rzeczywistej „partji" politycznej. Socjaliści (Section Française d'International Ouvrière) mają nietylko organ partyjny, ale rozporządzają Centralą Syndykatów—C. S. T.

Wreszcie komuniści (Section Française d'Internationale Communiste) posiadający, jak wszędzie, poparcie pieniężne III-ej Międzynarodówki, mają też dużą liczbę „cellules" oraz słynną C. G. T. U. — Conféderation Générale du Travail Unitaire.

Parlament posiada pozatem kilkudziesięciu „dzikich", z których kilku monarchistów, paru konserwatystów. Uwzględnić nadto trzeba organizacje nie mające przedstawicieli w Izbie, odgrywających niemniej dużą rolę w życiu politycznem.

Przedewszystkiem rojalistyczna „Ligue d'Action Française". Program jej zbyt jest znany, przytoczę tylko słowa Duca d'Orleans, pretendenta do tronu Francji, wypowiedziane na łożu śmierci: „Le roi de France est toujours très-chrétien..." Słowa te dosadnie charakteryzują stanowisko tego, którego A. F. uważała za swego założyciela. Zresztą można stwierdzić, że wszelkie wystąpienia „A. F." nacechowane są szacunkiem dla katolicyzmu.

Dyssydenci z „A. F.", faszyści z Valois i Arthuys na czele nie stawiają kwestji religijnych równie jasno. Oczywiście plotki o defraudacji list prenumeratorów, o poparciu pieniężnem „anonimowem", nie mogą być miarodajne, faktem jest jednak, że wszystkie oficjalne enuncjacje sformułowane są mglisto.

Z powyższego widać, że katolicy nie wielu mają obrońców. Tem większy jest wysiłek, tem więcej pracy w agitację wśród szerokich mas wkładają ludzie, co życie tej sprawie poświęcili. Prócz zahartowanego w bojach kleru, niech mi wolno będzie wymienić sędziwego gen. Castelnau, który nie traci ani jednego dnia, ciągle zagrzewając do czynu. A jest o co walczyć! Szkoły „wolne" — katolickie, zakaz nauczania dla księży, wygnanie kongregacyj, rozdział kościoła od państwa, wreszcie cały program laicyzacji, to wszystko grozi katolikom. Komitety djecezjalne co i raz zwołują wielkie zgromadzenia; na których katolicka ludność gorąco protestuje przeciw coraz dalej idącym bezprawiom.

Podziwiać należy tych ludzi, co prześladowani przez rząd, nie stracili wiary w ojczyznę i gdy tylko rozległ się apel do ofiarności publicznej dla ratowania skarbu, pośpieszyli na czele ofiarodawców.

Bo istotnie położenie wymagało mocnego uświadomienia sobie przez wszystkich jego grozy. Dotychczasowy, 23 miesięczny bilans rządów kartelu, wynosił: 5 kryzysów, 84 ministrów. W tych warunkach nie może być mowy o ciągłości polityki, o wydajnej pracy. Przykłady: polityka marokańska, chwiejna i niezdecydowana, równie podrywająca autorytet Francji, jak niegdyś była polityka popierania separatyzmu nadreńskiego, czy wreszcie sprawy gospodarcze. Na pierwszy rzut oka zdaje się być Francja krajem „wszelkiej pomyślności", gdzie „jedyne oszczędności" — jak pisze jeden z publicystów angielskich — znać na długości sukien.

A jednak! inflacja, choć jeszcze nie katastrofalna, zmieniła zupełnie psychologję społeczeństwa. Kto wie, co znaczyło niegdyś przysłowiowe „oszczędzanie" Francuzów, ten zrozumie grozę sytuacji, wytworzonej przez zabicie zmysłu oszczędności. Wszystko wydać dzisiaj! Hasło „z dnia na dzień" rozbrzmiewa coraz silniej, powiększając pozorny dobrobyt, bo popierając konsumcję. Ale właśnie Francja jest dzisiaj „krajem konsumentów". Choć fabryki dymią, choć niema bezrobocia, to Francja „zjada sama siebie", zjada swój kapitał, zjada swe oszczędności. Te dwa objawy zbyt są groźne, aby nawet po uporządkowaniu spraw czysto

skarbowych przejść nad niemi do porządku. Zresztą nawet jeśli wysiłki p. Pereta, zmierzające do zrównoważenia budżetu, uwieńczone będą powodzeniem, to musi przyjść stabilizacja waluty i ciężki kryzys. Z obecnego nerwowego okresu obudzi się społeczeństwo francuskie pod ciężkim obuchem rzeczywistości. Tą rzeczywistością będą: stagnacja i bezrobocie.

Zresztą, dość przepowiedni! „Berlin zawcześnie się cieszy", pisze „L'Ouest-Eclair", „Francja pokaże, że miała nietylko pełną chwały przeszłość, ale że ma obfitą w możliwości zwycięską przyszłość".

* * *

Życie katolickich organizacyj akademickich we Francji nietylko jest ciekawe, ale i obfite. W ostatnich czasach dwa wielkie wydarzenia zasługują na uwagę polskich czytelników.

Jednem to doroczny kongres narodowy „Association Catholique de la Jeunesse Française". Kongres ten odbyty w dniach 9, 10 i 11 kwietnia w Besançon zgromadził około 5.000 studentów z całej Francji oraz biskupów i deputowanych katolickich. Obrady kongresu poświęcone sprawie „Życia regjonalnego" były niezmiernie ciekawe i doniosłe. Rezultatem zaś były przeróżne uchwały (podajemy tylko najważniejsze).

„Zważywszy, że jedność narodowa jest rezultatem wysiłków wielu wieków, że jedność ta obecnie stała się bezpłodnym i krańcowym centralizmem.

Zważywszy, że wbrew koncepcji państwa, mechanicznej, indywidualistycznej i jakobińskiej, koncepcja organiczna winna przejawiać się przez organizację i reprezentację w łonie narodu licznych czynności, które tworzą życie regjonalne.

Że poza swą wartością wychowawczą, regjonalizm daje szczególne gwarancje dla obrony wolności osobistych, a szczególnie wolności religijnych i szkolnych.

Że popiera inicjatywę osobistą i czynność organizmów społecznych, że dąży do rozwoju uczucia narodowego.

Zważywszy, że sytuacja Alzacji i Lorataryngji jest kwestją ogólnie-francuską A. C. I. F. żąda, aby akademicka rada regjonalna, zapewniła lepszą organizację nauczania przez dostosowanie go do poszczególnych prowincyj. Żąda zorganizowania regjonalnych izb handlu, przemysłu, rzemiosł, rolnictwa, pracy..."

Kongres ten był wielkim przeglądem sił katolickich studentów, przeglądem, który pokrzepił serca uczestników i wlał w nich wiarę w lepszą przyszłość. Drugim był „Tydzień studenta-katolika" zorganizowany staraniem „Federation Nationale des Etudiants Catholiques" w dniach 13—17 kwietnia, pod protektoratem J. Em. ks. kard. Dubois, arcybiskupa Paryża. Trzy z pośród konferencyj, wygłaszanych codziennie traktowały o ideale katolickim, wcielonym w przedstawicieli zawodów: lekarza, adwokata, inżyniera. Czwarta poświęcona była przedstawieniu życia Fr.

Ozanama, piąta była wielkim zebraniem propagandowem w olbrzymiej sali „Societé des Savantes", wreszcie szósta, reasumując wnioski, nosiła tyłuł „Ideał zawodowy intelektualisty-katolika". Zarówno dobór referentów (S. Goyau, Madelin, Bernoville, Aubépin, Dunoyer), jak i treść wygłoszonych przemówień składała się na bardzo interesującą całość. Temu też należy przypisać niezwykłe zainteresowanie się Tygodniem wśród młodzieży akademickiej, czego rezultatem było 500—700 osób na każdej konferencji.

Kazimierz Zdziarski.

Sprawozdania i krytyki.

ZNAKI NA NIEBIE.

Nie inaczej zacząć wypada te uwagi o nowej książce p. Dmowskiego [1]). Bo nic dobrego dla nas i dla pokoju nie wróżą ani genewskie obrady Niemiec, ani ich robota na Śląsku, ani zamachy na Pomorze, od kanonizacji Hozjusza do pożyczek i szpiegostwa, ani ich tajne, metodyczne przygotowania do wojny, ani słabość sprzymierzeńców. I naprawdę, już nie domniemania i strachy o wojnie odwetowej, ale Grottgerowskie komety wkrótce się może nam ukażą. A wobec tej groźnej, twardej przyszłości stoi Polska gospodarczo rozbita, z rolnictwem pogrążonem w nędzy, z przemysłem załamanym, obciążona masami bezrobotnych, bez dostatecznego przemysłu wojennego, bez środków na jego uruchomienie, bez finansów, do elementarnej obrony potrzebnych, ze skarbem wreszcie niezrównoważonym. W takiej chwili warto wziąć do rąk nową książkę p. Dmowskiego.

P. Dmowski kryzys polski rozpatruje w świetle europejskiem. Bo istotnie upada dziś wielki, przerośnięty przemysł europejski, utraciwszy zamorskie rynki zbytu. Upada, bo upaść musiał. To była konieczność nieubłagana, jak nieubłaganem jest rozprostowanie stosunków spaczonych, nienormalnych, opartych na spekulacji i wyzysku.

Ale ten kryzys przemysłu, który budowano myśląc tylko o zysku, nie zważając na możliwości przemian za oceanami, który tworzono sztucznie, daleko od konsumenta i daleko od surowców (np. przemysł bawełniany w Europie) pociąga za sobą wyrzucenie na bruk wielkich mas ludzi, sztucznie właśnie przez ten przemysł wyhodowanych. Te masy bezrobotnych [2]) ciążą na życiu gospodarczem, społecznem i politycznem nietylko Europy, ale i świata.

---

[1]) Kwestja robotnicza wczoraj i dziś. Warszawa, 1926.

[2]) P. Dmowski oblicza bezrobotnych w Europie na 20 milj., sądzimy, że jest to cyfra przesadzona. Otrzymał ją zapewne p. Dmowski mnożąc przez 4 liczbę robotników bez pracy. Otóż

Staje więc pytanie, czy utracone rynki można odzyskać. Otóż główną przeszkodą jest, zdaniem autora, taniość robotnika kolorowego, ze względu na dłuższy czas pracy, niskie wynagrodzenia i pracę dzieci. Istotnie, te warunki zachodzą. Ale już dziś, dzięki robocie bolszewickiej, robotnik podrożał na Dalekim Wschodzie, a wraz z nim towary kolonjalne. Ten proces będzie szedł naprzód, także i z powodu wyczerpywania się fizycznego warstwy robotniczej — przecie i w Europie robotnik pracował po 16 i 18 godzin i wytrzymywał, ale dziś już nie wytrzyma tego. Będzie również taniość robotnika zanikała ze względu na wyzysk, w Chinach np. nazbyt wielki, co powoduje zawsze ruchy socjalne i ustępstwa kapitału. Ta walka musi być za morzami o tyle krótsza, że masy opanować może łatwo i opanowuje komunizm, o ile groźniejszy tam, wśród ciemnych półbarbarzyńskich mas. Życie to okazuje.

Ale niemniej rynki są utracone. Bo z jednej strony kalkulacja i logika każą zakładać fabrykę na miejscu, obok plantacji, bo z drugiej strony dowóz z daleka możliwy jest tylko w czasach bezwzględnego pokoju, a sądzimy, że świat dziś nie wkroczył wcale w erę złotą. Dlatego zamorskie rynki są dziś mniej pewne, niż kiedykolwiek. Sądzimy więc, że łudzą się ci, którzy marzą o powrocie czasów przedwojennych, czy też nawet o ekspansji ponownej kosztem robotnika — z natury krótkotrwałej, ale też niema potrzeby obawiać się w Europie konkurencji zamorskiego, np. chińskiego przemysłu. Ludzie wschodu, m. in. chińczycy, wbrew utartym poglądom, są narodem tak leniwym i tak organizacyjnie niezdolnym, że samodzielna konkurencja z ich strony jest czemś nie do pomyślenia[1]). Może być mowa o kapitale europejskim, któryby mógł konjunktury wyzyskać, ale nie zdaje się to możliwe na dłuższą metę.

Ale nie tylko ze względu na taniość robotnika za morzami powrót do czasów przedwojennych w myśl tezy p. Dmowskiego nie jest możliwy. Brak również kapitału na udoskonalenia w przemyśle. Udoskonalenia takie, aczkolwiek rentowne, wymagają dużych wkładów. Tych wkładów Europa na większą skalę czynić nie może, bo niema z czego, a Ameryka nie chce, bo wyzyskanie bogactw tamtejszych bardziej się opłaca od finansowania przemysłu w Europie. Jesteśmy więc pozostawieni własnym siłom i własnej przemyślności. Starania o pożyczkę amerykańską dla Polski są tego najlepszym dowodem. Tę wielką prawdę p. Dmowski przedstawia oczom społeczeństwa, nawołując je do oszczędności i ograniczenia wydatków, do pracy intensywnej i sumiennej.

Tu dotykamy sprawy palącej — kwestji robotniczej. Ta kwestja ma dziś dwojakie oblicze. Są niemal dwie kwestje: robotnika kwalifikowanego, dziś z gustów, stopy życia, dochodów już drobnomieszczanina i robotnika niekwalifikowanego, masy w nędzy żyjącej, pracującej doraźnie, masy *par excellence* bezrobotnej. I tu nasuwa się pytanie, czy można jeszcze te dwie warstwy traktować łącznie, czy proces podziału nie poszedł za daleko. Szanowny autor mówi o obni-

---

w zasadzie słuszne obliczenie musi ulec skorygowaniu o tyle, że wielu bezrobotnych to są ludzie młodzi, bez rodzin, że pozatem wielu bezrobotnych, np. u nas w Polsce w mniejszych ośrodkach, żyje z pracy żon czy dzieci. Liczba więc osób, pozbawionych utrzymania i pracy, powinna być znacznie zredukowana.

[1]) Por. artykuły znakomitego znawcy wschodu dr. Legendre w *Illustration*. 1925, 1926.

żeniu płac robotniczych, przez co uzyska się wolne sumy na zatrudnienie bezrobotnych. Czy jednak nie będzie to niszczenie części wytworzonego już stanu średniego, rzemieślniczo-robotniczego, na rzecz robotników niekwalifikowanych? Czy to nie będzie socjalistyczna równość stosowana ze wszystkiemi jej fatalnemi skutkami do warstwy pracującej fizycznie? Nasuwają się nam te wątpliwości. Bo rzeczywiście p. Dmowski różnych żąda ofiar od społeczeństwa na rzecz bezrobotnych: dobrowolnych wyrzeczeń ze strony mieszczaństwa i kapitału (str. 20) i ofiary znacznie mniej dobrowolnej, zbiorowej i masowej od robotnika — nietylko dłuższej pracy, ale i niższych płac. Zachodzi tu dla nas pewna dysproporcja w ofiarach. Sądzimy, że ze względu na zdrowie społeczeństwa wystarczyć winny, nie mówiąc tu o rewizji czasu pracy ze strony robotnika, te same ofiary dobrowolne (np. oszczędność), których się trzeba domagać od innych warstw. Ale zresztą postulat p. Dmowskiego nie jest możliwy do przeprowadzenia w życie w całej pełni. Do obniżenia płac, choćby na rzecz bezrobotnych, nie dopuszczą związki robotnicze, naciskając na swe stronnictwa. I sądzimy, że w części przynajmniej będą miały słuszność. Cel wystąpienia p. Dmowskiego jest jasny i słuszny. Chodzi o rewizję ustawodawstwa socjalnego, na niezdrowych w Polsce zasadach zbudowanego, rewizję dziś konieczną ze względu choćby na marnowanie pieniędzy, na niepotrzebne wydatki w ubezpieczeniach. Ale sądzimy, że ujęcie jest w swych skutkach w całości nie do urzeczywistnienia.

Ale zresztą, czy to obniżenie płac robotniczych, aby rozbudzić i ożywić przemysł jest celowem? Dwie metody wyjścia są dziś wysuwane wobec tej finansowej i budżetowej impasse, w jakiej Polska się znajduje.

Jedna z nich — to dać za wszelką cenę utrzymanie dostateczne i dobre robotnikowi i inteligentowi, choćby się to stać miało kosztem ruiny kapitału i przemysłu. Stąd hasło — „żadnych redukcji“. Nie poruszamy tu skarbowych racji i naukowych danych, które przemawiają przeciw takiemu stawianiu rzeczy. Są one omówione szerzej i łepiej przez kogo innego. Ale tego rodzaju taktyka prowadzić musi w skutkach do zupełnego osłabienia kraju i wprost do wydania go na łup wroga. Kraj bez kapitału, bez zdrowego przemysłu, bez finansów, nie zdoła się oprzeć naciskowi wroga choćby przez 6 tygodni. Nadzieje na pożyczkę dziś, po Locarno, w dobie pokoju, zawiodły, bo Polska niema jeszcze zaufania. A sądzimy, że w razie wojny z Niemcami, biorąc np. dzisiejsze okoliczności, nie na nasze zwycięstwa, nie na obronę wszystkich zakątków trzeba kłaść nacisk, ale na przetrzymanie. Europa na krótszą wojnę zamknie oczy i choć z protestem, ale da placet na zmiany terytorjalne, ale długiej wojny nie wytrzyma, bo ta zburzy jej życie gospodarcze. W takiej ciężkiej, ale wcale nie beznadziejnej sytuacji, jaka jest dziś, rujnowanie przemysłu jest wprost przestępstwem wobec przyszłości państwa. A cóż dopiero mówić o redukcjach armji dla utrzymania bezrobotnych. Sądzimy, że nie wolno stawiać dylematu: albo Polska „sprawiedliwa“ dla robotnika czy chłopa, albo się ją „opukuje jak obrazek“.

Jest też inne wyjście — wielkie redukcje, ulżenie przemysłowi, zmniejszenie podatków, dłuższy czas pracy. Ale po przeprowadzeniu tych postulatów naprawa nie przyszłaby jeszcze zaraz. Trzebaby było odbudować kapitał, wprowadzić nowe maszyny do przemysłu, uzdrowić stosunki rolnicze. I to zapewne o własnych siłach, gdyż pożyczka zagraniczna, ta Lorelei anglosaska, coraz złudniej śpiewa

w mgłach już koło Genewy. Jest to droga słuszna i zdrowa. Jest tylko kwestja, co zrobić z bezrobotnymi — inteligencją i robotnikiem — ktoś ich żywić musi. Ulżenie przemysłowi doprowadziłoby dziś tylko do usunięcia mas pół-bezrobotnych, tych, którzy pracują po 2 — 3 dni w tygodniu, trochę niekwalifikowanych znalazłoby pracę, trochę inteligencji — dużo nie, bo kraj jest wyczerpany. Pozostaje reszta. Ale przecież nie cały przemysł można wskrzesić. Białystok, obliczony na rynki chińskie, nie wskrześnie, jak feniks, musi z tych samych przyczyn upaść część przemysłu łódzkiego, muszą się prędzej czy później zamknąć nierentowne kopalnie małopolskiego węgla, i żelazny przemysł w b. Królestwie, bo już nie wytrzymują i wytrzymać nie mogą konkurencji ze świetnie zorganizowanym, europejskim przemysłem Śląska — chyba, żeby mu pomagał, jak dotychczas, pusty skądinąd skarb. Złudne są nadzieje na odbudowanie wielkiego rozwoju gospodarczego — i w razie redukcji bezrobocie nie ustanie — najwyżej się zmniejszy trochę. Ale za to rość będzie niezadowolenie podsycane przez elementy wywrotowe, które mogą też opanować część tak chwiejnej polskiej inteligencji. Nie można nie wierzyć w niebezpieczeństwo komunistyczne dlatego, że komunizm jest sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Błędem jest bowiem, jak sądzimy, liczyć na zdrowy rozsądek mas nawet na Zachodzie. Rozsądek ten śpi, budząc się zrzadka i na krótko, co kilka dziesiątków lat mniej więcej, a tymczasem w polityce rządzą namiętności. I tak będzie zawsze tam, gdzie będzie pięcioprzymiotnikowa demokracja. Komunizm nie przez swe nauki gospodarcze trafia do mas i w nich się zakorzenia — trafia do nich przez nienawiść, którą wszczepia. Tem się tłumaczy ten dziwoląg, że w Rosji sowieckiej rządzą komuniści, choć kraj jest w ruinie. Rozagitowana ludność nie chce komuny, ale jest za sowiecką władzą, bo ta wygnała burżujów. Dziś ralliement chłopa po wprowadzeniu wódki i zmniejszeniu podatków jest zupełne. To wszczepienie nienawiści jest ogromnie dla społeczeństwa niebezpieczne, tembardziej, że dziesiątki lat pracy niektórych dzisiejszych wrogów komunizmu ten grunt w Polsce przygotowały. Wobec rozpętanych namiętności nic nie pomoże rozsądek i perswazja i ten, który pójdzie tłómaczyć robotnikowi, że wszędzie jest dziś źle, spotkać się może z odpowiedzią, którą usłyszał piszący z ust robotnika: „ja w to nie wierzę“. Nie wierzy, bo to mówi „pan“. I choć istnieje w Polsce i działa ruch chrześcijańsko-społeczny, niedoceniać niebezpieczeństwa komunistycznego, jak sądzimy, nie można i z niem przy sanacji liczyć się trzeba.

Nie sądzimy przez to, by należało ulegać panice, zamykać oczy i ustępować przed bezrobociem i dla jednostek, choćby bardzo licznych, wycieńczać kraj cały. Aby wyleczyć część chorą nie trzeba zarażać innych części. Gospodarcza ruina klas posiadających jest pierwszym krokiem do bolszewizmu, bo osłabia moralne siły społeczeństwa. Nie jest więc dobrze kosztem zdrowia gospodarczego kraju zaspakajanie choćby słusznych żądań bezrobotnych. Zresztą jasną jest rzeczą, że mimo przeprowadzenia redukcji Polska bolszewizmowi oprzeć się potrafi, bo się oprzeć musi. Są to trudności sanacji.

Ale jeśli się tą drogą stworzy społeczeństwo, ze zwolna odradzającym się kapitalizmem, a z wielkiemi masami nędzarzy u dołu, to jakąż będzie w życiu narodowem rola tych rzesz, które nieproduktywnie zjadają, bo zjadać muszą, drogą jałmużny i zasiłków poważną część kapitału narodowego? Przecież z głodu

nie mogą wymrzeć, ani z epidemji, do tego doprowadzać nam nie wolno, obowiązkiem naszym jest dać im utrzymanie, a to utrzymanie fatalnie ciąży i ciążyć będzie na budżecie społeczeństwa. I zastanowić się trzeba, czy kraj, tak obciążony, znajdzie dość środków, by przygotować swą obronę? Czy utrzymanie, konieczne tak czy inaczej, wielkich mas nędzarzy nie odbije się na przygotowaniach obrony w czasie pokoju i na sile odpornej państwa w czasie wojny?

Na te dręczące pytania trzeba jednak dać odpowiedź, z chwilą gdy z zagranicy kapitał w większej ilości nie przypłynie, z chwilą gdy sąsiad z zachodu grozi nam odwetem. Trzeba stawiać rzeczy jasno. Utrzymanie bezrobotnych sparaliżuje naszą działalność gospodarczą, osłabi przez to siłę obronną kraju, zaburzy go wewnątrz. Trzeba te masy wypchnąć za granicę, choćby to nas pozbawiło części żołnierzy. Lepiej i uczciwiej będzie pozbawić się dobrowolnie części obrońców, niż powtarzać później, w czasie wojny, zdarzenia, za które w Rosji pod sąd poszedł Suchomlinow. Dziś, gdy z konieczności tą czy inną drogą zmniejszamy stan faktyczny wojska, musimy też myśleć, jak uzbrojoną, zaopatrzoną armję postawimy w razie wojny. Czy długo wytrzymamy pędząc ją — powiedzmy — głodnym i bosym nieraz żołnierzem, jak w 1920 r.? Lepiej jest może mieć armję mniejszą, ale dobrze uzbrojoną w broń nowoczesną, a za nią kraj gospodarczo choć jako tako zorganizowany, niż wielkie masy, za któremi nie będzie — pieniędzy. Zorganizowanie emigracji i doraźne wypchnięcie za granicę dużej części bezrobotnych może będzie cięciem bolesnem — ale jakież inne wyjście? Mówimy doraźne, bo niebezpieczeństwo odwetu nie jest dalekie: mówiono po Locarno o maximum 10 latach pokoju. Sądzimy, że pewnego pokoju mamy nie więcej, niż 4 — 5 lat.

Ale zagadnienie emigracji sprowadza się do kwestji wolnego miejsca na ziemi. Ziemia nie jest jeszcze szczelnie zapełniona; powiedzmy, zdaniem geografów, i to nie optymistów, przy dzisiejszych warunkach uprawy, bez wyzyskania mórz, a po wyłączeniu anekumen, może pomieścić jeszcze drugie półtora miljarda ludzi. Odrzucić tu trzeba kraje, gdzie ludność biała nie może żyć i pracować, odrzucić też trzeba wielkie obszary Rosji. Ale zostanie jeszcze bardzo dużo miejsca. Coprawda, Stany Zjednoczone się zamknęły, ale są w stanie kolonizacji Brazylja, Meksyk, Kanada. Jeżeli ludność Australji wzrasta tak wolno, to nie dlatego, by tam brakło miejsca, ale dlatego, że wogóle przy hodowli ludność wolno wzrasta. Tereny Australji, N. Zelandji, Argentyny, dziś pod pastwiskami, mogą być łatwo wzięte pod pług. Hodowla natomiast może znaleźć zastosowanie gdzieindziej. Że miejsce do kolonizacji jeszcze jest i bezrobotnych można wysyłać, najlepiej dowodzi fakt, że w r. 1925 Niemcy wysłały za ocean 62.000 ludzi. Trudno tu analizować inne cyfry i dane.[1]) Biorąc ściśle, w Brazylji i wogóle w Ameryce Poł. robotnik kwalifikowany i inteligent mogą jeszcze bez trudności znaleźć pracę.

---

[1]) Międzynarodowe Biuro Pracy opublikowało ciekawe dane co do emigracji w latach 1920 — 1923. Wynika z nich, że Niemcy powiększyły olbrzymio swoją emigrację, przekraczając przedwojenne normy. Skądinąd wiadomo, że w ostatnich latach emigracja stale wzrasta. Z ca. 55.000 w 1923 na 58.000 w 1924, 62.000 w 1926. Włochy wysyłały rocznie koło 40.000 ludzi za ocean. Natomiast Polska w r. 1923 wysłała kilkanaście tysięcy ludzi do Ameryki, dając się w ten sposób wyprzedzić innym. Dziś jest bardzo trudno odrabiać zaległości.

Nie potrwa to długo — i Niemcy i Portugalczycy wykorzystują tę konjunkturę na wielką skalę. Zresztą tylko z naszej strony nic się nie robi. Nasz robotnik niekwalifikowany śmiało może pracować na roli — pójdzie coprawda na warunki bardzo ciężkie, ale lepiej, aby się dorabiał tam, niżby miał moralnie się deprawować, siedząc bez pracy w kraju. Sądzimy, że według danych dzisiejszych, emigracja na dawnych szlakach za ocean jest zgoła możliwa — czy na długo — nie wiadomo. Musi być tylko celowo i dobrze zorganizowana.

Emigracja z punktu widzenia gospodarczego pożądana, ze względu na obronę narodową staje się koniecznością. Są to konsekwencje bardzo ciężkie, ale zdaje się, że przed niemi stoimy.

P. Dmowski pominął te problematy i dlatego może zagadnienia kryzysu naszego ostatecznie nie rozwiązał. Gdy pisał swą broszurę, uderzył w tendencję zjadania kapitału bez pracy, uderzył w tych wrogów sanacji, którzy poza interesem warstwy nie widzą Polski. Ale sądzimy, że uderzył zbyt nierówno i niezbyt szczęśliwie. Bo przedewszystkiem, jak sądzimy, nie rzucił światła na palącą dziś kwestję obrony narodowej ze stanowiska gospodarczego. Bo następnie, żądając ofiar od społeczeństwa, innych ofiar zażądał od mieszczaństwa i przemysłu, innych od robotnika. Wreszcie, może uwypuklając naszą sytuację, niedocenił znaczenia i możliwości emigracji. Pozatem nieświadomie, ulegając suggestji wielkiego światowego przemysłu i światowej wymiany, na tej błędnej drodze szukać kazał chwilowej choćby ulgi. Bo pozytywny umysł p. Dmowskiego cofnął się przed rozpaczliwem „après nous le déluge". Te jednak przeoczenia i niedociągnięcia nie są dobre u wychowawcy. Aż nazbyt często uczniowie p. Dmowskiego, młodsi szczególnie, ulegając jego przemożnej indywidualności, starają się brać wszystko dosłownie, i z tego wyciągają scholastyczne nieraz wnioski. I to nieraz może krzyżować myśli i zamierzenia. Przecie niewolnicze trzymanie się tekstów o etyce narodowej doprowadziło w skutkach do stworzenia wśród młodzieży katolickiego ruchu narodowego. Obawiać się należy, że nieścisłości ekonomiczne do innych skutków mogą doprowadzić, choć są zawarte jedynie w broszurze aktualnej.

Bo „kwestja robotnicza" jest broszurą polityczną, rzuconą na szaniec w chwili, gdy pierwsze rysy ukazały się na gmachu zgody narodowej, i gdy trzeba było rzucać zaczątki nowych dróg. Pisząc swą broszurę, miał p. Dmowski na myśli gospodarcze wzmocnienie Polski, by ją od najazdu uchronić. Nie powiedział tego jednak w książce. Ale spodziewać się należy, że i w tej sprawie jako prawdziwy przewodnik pokolenia, rzuci swe wskazania tak jasno i prosto, „że największy głupiec potrafi je zrozumieć". A te wskazania tak bardzo są potrzebne, dziś, gdy w ciszy, metodycznie, jak morderczy zamach, planuje się w Europie, nowa, straszna wojna. Czekamy.

Senex.

* * *

Jerzy Kurnatowski: Czechosłowacja i Czechosłowacy. Frysztat. 1926.

Praca nad zbliżeniem polsko-czeskiem zaznacza się nietylko na polu politycznem, lecz także w ruchu wydawniczym. W niewielkim stosunkowo odstępie czasu ukazały się dwa większe dzieła, mające Polaków zapoznać z współczesną

Czechosłowacją. Jednem jest wydane w ub. roku zbiorowe dzieło kilku czeskich specjalistów p. t. „Czechosłowacja“, drugiem książka p. Kurnatowskiego. „Czechosłowacja“ jest książką o charakterze informacyjnym; jej autorowie ograniczyli się do podania rzeczowych wiadomości o republice czeskosłowackiej. Przedstawili stosunki narodowościowe, gospodarcze, polityczne i t. d. z punktu widzenia polityki rządu praskiego, trzeba więc tu i ówdzie zrobić pewne zastrzeżenia; w niejednem miejscu potrzebne byłyby uzupełnienia i wyjaśnienia.

W książce p. Kurnatowskiego tendencje propagandowe uwydatniają się bardzo wyraźnie. Już w przedmowie zaznacza autor potrzebę współpracy politycznej Polski i Czechosłowacji ze względu na niebezpieczeństwo niemieckie. A za szczególnie potrzebne dla nas Polaków uważa „poznanie duszy czeskiej, nawskroś demokratycznej, nawskroś wolnościowej, a dalekiej od anarchizmu, poznanie potęgi pracy czeskiej, wysiłku odrodzeńczego tego narodu, jego obecnej organizacji, stojącej na równi z organizacją najbardziej cywilizowanych narodów świata“ i t. d. Te pochwały uprzedzają czytelnika, że autor żywi dla Czechów uczucia b. serdeczne. Istotnie, w książce swej okazuje się p. Kurnatowski entuzjastycznym przyjacielem, a rzec można nawet wielbicielem Czechów. Nie byłoby w tem może nic złego, gdyby nie to, że p. Kurnatowski w tych pochwałach i hołdach składanych Czechom idzie stanowczo zadaleko. Nie znajdując dość słów uznania dla roli, jaką Czesi odegrali w dziejach Europy, potępia autor niejednokrotnie politykę polską.

Panowanie Wacława II w Polsce miało dla niej, zdaniem p. Kurnatowskiego, „ze wszechmiar dodatnie znaczenie“. Natomiast „jeżeli przyjmiemy teorję odpowiedzialności, to nasza historyczna wina w stosunku do Czechów jest olbrzymia i nie łagodzi jej to, że sami za nią odpokutowaliśmy straszliwie“. Władysławowi Jagielle i Warneńczykowi ma autor za złe, że odrzucali koronę czeską; potępia Zygmunta Starego, który idąc za głosem przekupionych zdrajców darowuje Czechy Habsburgom“ i Zygmunta III, który posłał Habsburgom na pomoc swoich kozaków. Później pomógł jeszcze Austrji Sobieski. Za tę dwukrotną pomoc odwdzięczyła się Austrja „wyhodowawszy nam w Galicji całe generacje mówiących po polsku austrjaków, którzy — poza niewielu wyjątkami — na każdem polu i pod każdym względem zatruwają organizm odradzającej się niepodległej Polski“. O b. dzielnicy austrjackiej, mówi autor, z najwyższą niechęcią, twierdzi, że Kongresówka „bez porównania więcej zrobiła dla nauki, oświaty i sztuki polskiej, niż pseudo-wolna Galicja“ i że „nienawiść do Kongresówki i Poznańskiego Galicja musi maskować, musi zadawalać się rugowaniem Polaków z Kongresówki i Poznańskiego ze stanowisk urzędowych i traktowaniem ich, jako narodu podbitego, czyniąc to jednak po cichu“. Galicji też zarzuca autor rozdmuchanie „drobnych sporów granicznych“ polsko-czeskich. Czechom nie ma tu autor nic do zarzucenia, bo „co byłby dał plebiscyt na Śląsku Cieszyńskim, gdyby się odbył — tego niepodobna przewidzieć“, a Jaworzyna to „drobnostka, dziecinny spór“.

Zbliżenie do Czechosłowacji propaguje p. Kurnatowski nietylko ze względu na niemiecki „Drang nach Osten“, lecz także dlatego, że w Czechosłowacji „panuje normalna zachodnio-europejska umysłowość“. W Polsce widzi „bigos romantyczno-katolicko-socjalistyczny“, w Czechach natomiast podobają mu się silne prądy antykatolickie, a przedewszystkiem husycki kościół czeskosłowacki.

O katolicyzmie pisze p. Kurnatowski z źle ukrywaną niechęcią. Niechęć ta przebija zarówno w zarysie historji Czech (zwłaszcza w rozdziale poświęconym wojnom husyckim), jak w obszernym opisie współczesnej Czechosłowacji. Stara się Czechy przedstawić jako kraj niekatolicki. „Nawiasem powiedziawszy — zauważa, wyliczając stronnictwa w Czechosłowacji — dopiero skład parlamentu daje nam istotne pojęcia o sile i wpływach katolicyzmu. Wpływy te ograniczają się tylko do stronnictwa ludowców“. Chciał przez to p. Kurnatowski powiedzieć, że katolicyzm czeski jest bardzo słaby. Ale w czasie pisania książki odbyły się wybory do parlamentu, w których ci katoliccy ludowcy odnieśli świetne zwycięstwo, powiększając swój stan posiadania o połowę. Z bólem w sercu musiał p. Kurnatowski zaznaczyć w przypisku, że ludowcy wyszli z wyborów „wzmocnieni“. Spodziewać się należy, że i następne wybory dadzą wynik podobny. Rozwój organizacyj katolickich, a szczególnie bujny ruch wśród młodzieży, który z taką sympatją śledzimy w Polsce, jest gwarancją, że wbrew p. Kurnatowskiemu naród czeski pozostanie narodem katolickim i że katolicyzm wywalczy sobie w Czechosłowacji należne mu stanowisko. Węzły przyjaźni czesko-polskiej będą się mogły wtedy jeszcze bardziej zacieśnić.

Zanim to jednak nastąpi, książka protestanta p. Kurnatowskiego przez niesprawiedliwą ocenę polityki polskiej wobec Czech i przez uwydatnianie antykatolickiej „postępowości“ Czechosłowacji może idei zbliżenia polsko-czeskiego niemało zaszkodzić.

S. S.

Przegląd bibljograficzny.

— Z okazji 900-ej rocznicy śmierci Bolesława Chrobrego obok niezmiernie doniosłej monografji profesora Stanisława Zakrzewskiego, omówionej w n-rze 3-im „Prądu“ („Z literatury chrobrowskiej“) ukazało się kilka prac popularnych, z których na polecenie zasługują: E. Białynia. „Bolesław Chrobry“. Akt. Str. 39 — przedstawia starannie zebraną kronikę wypadków panowania Bolesława; W. Sobieski — „Bolesław Chrobry“. Kraków, str. 38 — ma charakter raczej publicystyczny, namiętnie antyniemiecki. napisana żywo, potoczyście, daje obraz wyrazisty; K. Sochaniewicz „Bolesław Chrobry“. Lwów. Wyd. zakł. nar. im. Ossolińskich. 71 str. — jest najobszerniejszą z tych prac i opiera się w dużym stopniu na legendach, które nie są poddane dostatecznej analizie krytycznej, tak że zaciera się linja graniczna między dominującą legendą a kiełkującą prawdą.

— Wł. Kucharski podjął wdzięczną, choć nader żmudną pracę wydobycia paru tysięcy (przeszło 2.300) „myśli“ z dzieł sienkiewiczowskich, ułożył je przytem w 19 oddzielnych grup tak, aby ułatwić czytelnikowi zorjentowanie się w całości. Większość tych myśli jest nam dobrze znana, przypominamy

sobie z łatwością, z którego dzieła ta lub owa pochodzi. Ale—oderwane od zdarzeń i osób od ogólnego wątku opowieści czy dowodzenia—przemawiają one bezpośrednio, zastanawiają znacznie więcej, niż złączone ze swą organiczną całością literacką; tworzą odrębną, nową atmosferę duchową, z której wyłania się nowy Sienkiewicz i pozwalają odkryć, poza wielkim artystą, głębokiego myśliciela, badającego wszelkie zagadnienia bytu człowieczego. Książka ta p. t. „Myśli z pism Sienkiewicza“ ukazała się nakładem Zakładów nar. im. Ossolińskich we Lwowie.

— Edward Słoński napisał pieśń o Polsce i o morzu p. t. „Zaślubiny Polski z morzem“. Rzecz jest przeznaczona na lekturę dla młodzieży i pięknie ilustrowana przez Zygmunta Grabowskiego. (Wydawn. Ligi Morskiej i Rzecznej).

— Marja Świderska ogłosiła „Dziennik małej patrjotki“ Maryjki Bohowityn Kozieradzkiej z lat 1860—65. Autorka chciała dać młodemu i starszemu pokoleniu pamiątkę tych czasów i obraz życia, uczuć i nastrojów ludzi ówczesnych na kresach ukrainnych.

— Ks. dr. fil. Karol Mazurkiewicz, docent pedagogji seminarjum duchownego w Poznaniu, ogłosił drukiem monografję o Benedykcie Herbeście, pedagogu-organizatorze szkoły polskiej XVI w., kaznodzieju-misjonarzu doby reformacji (Poznań. Fiszer i Majewski. 275 str.). Dzięki mozolnym poszukiwaniom archiwalnym autor zdołał wskrzesić z zapomnienia postać znakomitego humanisty, który położył niepożyte zasługi dla rozwoju myśli polskiej w XVI stuleciu. Benedykt Zieliński, czy Zieleniewicz, o nazwisku zlatynizowanem: Herbestus, rodem z Nowego Miasta (na poł. od Przemyśla), zarówno prawym charakterem, jak mądrością, pracą, rozległością widnokręgu umysłowego i poświęceniem życia szkole przypomina nam Konarskiego; jest on jakby poprzednikiem wielkiego reformatora XVIII wieku. Wnosząc powszędy z sobą tchnienie ożywcze, przeciwnik retorycznego frazesu, wielbiciel treści klasycyzmu, nie zaś czczej formy, walczył Herbest o nowe drogi dla szkoły w Polsce, domagając się dla niej zainteresowania i opieki ze strony całego społeczeństwa, uwzględniając indywidualne właściwości ucznia, wysuwając konieczność nauki języka ojczystego. Z działalnością organizatorską łączył Herbest pracę piśmienniczą, ogłaszając liczne dzieła i podręczniki z zakresu wychowania. Monografja ks. Karola Mazurkiewicza rzuca wiele światła na umysłowość polską XVI w. i szczególnie na prądy, panujące w dziedzinie nauczania i wychowania.

— Prof. dr. Władysław Konopczyński, członek komisji, która badała zarzuty marszałka Piłsudskiego, wydał broszurę, poświęconą tej sprawie p. t. „Prawda o biurze historycznem Sztabu Generalnego“. (Nakł. K. Rzepeckiego). Jest to krytyczny rozbiór zarzutów marszałka.

— W serji „Bibljoteka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej“ (nakł. Gebethnera i Wolffa) ukazała się doskonała nowela Piotra Choynowskiego p. t. „Pokusa“, zawierająca pełne humoru i głębszej myśli wspomnienia ucznia-Polaka ze szkół z Rosji.

— Katarzyna Klimowiczowa (Wrotny) napisała wspomnienia o ks. Andrzeju Fedukowiczu, proboszczu parafji żytomierskiej, zmarłym na skutek męczeństwa, przebytego w Rosji bolszewickiej. Wspomnienia te p. t. „Ks. Andrzej Fedukowicz“ opublikowała „Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej.

— Inż. Antoni Kiciński, zniewolony do przebywania w Rosji do początku 1925 roku, powróciwszy do kraju napisał książkę p. t. „Rządy sowietów w Rosji“, w której daje obraz przewrotu bolszewickiego i kreśli dzieje rządów partji komunistycznej, powołując się na fakty i dane statystyczne.

— Ukazał się z druku tom X „Poezyj" Marji Konopnickiej zupełnego wydania krytycznego, które opracowuje prof. Jan Czubek. Tom ten, opatrzony wyczerpującym dodatkiem krytycznym, wydany bardzo starannie i estetycznie, obejmuje słynny poemat „Pan Balcer w Brazylji".

— Kalendarz Samorządowy na rok 1926" wyszedł z druku jako jeden z tomów Bibljoteki Samorządu, wydawany przez Zrzeszenie Samorządów Powiatowych oraz Biuro Zjazdów Samorządu Ziemskiego w Warszawie. Na treść kalendarza składają się: informacje ogólne, wykazy władz centralnych, spis powiatów i gmin, wykaz szkół rolniczych i innych zawodowych, liczne artykuły oraz monograficzne opisy powiatów, miast i gmin wiejskich, tudzież instytucyj publicznych i społecznych, działalnością swą związanych z samorządem.

Na szczególną uwagę zasługuje dział artykułów, całość bowiem tego działu stanowi niejako encyklopedję niezbędnych wiadomości o samorządzie i o poszczególnych kierunkach jego działalności. Znajdujemy w nim artykuły: o ogólnych zadaniach samorządu — pióra d-ra M. Jaroszyńskiego, o działalności naszego sejmu w zakresie samorządu pióra A. Bogusławskiego, o polityce skarbowej komunalnej — W. Gajewskiego, o zagadnieniach zdrowotności publicznej w samorządzie — d-ra J. Polaka i d-ra Kl. Łazarowicza, o zadaniach rolniczych—Z. Ihnatowicza, S. Boguszewskiego i H. Orszy-Radlińskiej, o zadaniach oświatowych—K. Korniłowicza i K. Frelka, o opiece społecznej — J. Beka i Paciorkowskiego, o sprawach drogowych—inż. L. Borowskiego, o pożarnictwie — K. Wysznackiego i W. Dytkiewicza, o spółdzielczości — Fr. Dąbrowskiego. Dział artykułowy zamyka opracowanie bibljografji samorządowej pióra S. Podwińskiego oraz skorowidz ustawodawstwa samorządowego R. Grochowskiego.

W dziale opisów monograficznych znajduje czytelnik kilkadziesiąt opisów powiatów, miast i gmin wiejskich z całej Polski, ujętych przedewszystkiem pod kątem widzenia gospodarki samorządowej. W tym samym dziale zamieszczono informacje o centralnych zrzeszeniach samorządowych oraz innych instytucjach państwowych i społecznych, pozostających w bliskim kontakcie z samorządem.

KRONIKA.

W związku z projektem starań o beatyfikację kardynała Hozjusza. Konferencja Najprzewielebniejszego Episkopatu Polskiego postanowiła zająć się sprawą beatyfikacji kardynała Hozjusza. Rzecz ze wszech miar warta zabiegów, bo idzie najpierw o podniesienie chwały Bożej wogóle, następnie, dla nas Polaków specjalnie, idzie o zwiększenie liczby kanonicznie uznanych patronów naszych w niebie, których w porównaniu z innemi narodami mamy tak mało. Określenie Jaroszewicza: „Matka Świętych Polska", to przecież tylko raczej pium desiderium, naprawdę bowiem ludzi zmarłych w opinji świętości mamy bezwątpienia wielu, w świętych jednak, oficjalnie przez Kościół ogłoszonych, jesteśmy bardzo ubodzy.

Prowadzenie sprawy kardynała Hozjusza powierzone zostało ordynarjuszowi djecezji płockiej, J. E. Księdzu Biskupowi Nowowiej-

skiemu. Rzecz ta w dobie obecnej jest o tyle jeszcze konieczna, że jeśli my zaniedbamy jej, to ubiegną nas inni. Mianowicie Niemcy oddawna już podnoszą świątobliwość Hozjusza i o beatyfikacji jego zamyślają. Byłby to, jak słusznie zauważył jeden z bardziej zasłużonych historyków naszych (prof. Stanisław Zakrzewski ze Lwowa w prywatnej rozmowie z niżej podpisanym) skandal o wiele gorszy od próby przywłaszczenia sobie przez Niemców Mikołaja Kopernika i Polska żadną miarą na skandal taki pozwolić nie może.

Jak każdy proces beatyfikacyjny w stosunku do osób dawno zmarłych, tak i ten wymagać będzie dużego wysiłku naukowego, potrzebną zatem będzie doskonała, nowa i pełna monografja o kardynale Hozjuszu. Napisana przed siedemdziesięciu laty przez kanonika warmijskiego, Eichhorna, entuzjastyczna, *Der ermländische Bischof und Cardinal Stanislau Hosius* (2 tomy, Mainz 1854/5), dzisiaj już wystarczyć nie może — wymaga sprostowań, uzupełnień, a przedewszystkiem skontrolowania ze względu na przynależność niemiecką autora. Monografję ogólną wyprzedzać winny prace szczegółowe. Pracownie historyczne polskie wszelkiego rodzaju i rzędu mają pod tym względem doskonałe i wdzięczne bardzo pole do działania. Zresztą nie sami tylko historycy (Kościoła, polityczni, historycy literatury i t. p), ale i językoznawcy: dogmatycy, moraliści, prawnicy kanoniczni, skrypturzyści wreszcie, każdy ze swojego punktu widzenia, winni się zająć Hozjuszem i jego pismami. Idzie o to, aby go zbadać wszechstronnie i wyczerpująco, a w ten sposób dostarczyć ewentualnemu procesowi jaknajzupełniejszego materjału dowodowego, a dalej, aby przez szereg najrozmaitszych prac na temat hozjański lub choćby tylko pośrednio z Hozjuszem związanych, imię jego uczynić w Polsce jak najbardziej głośnem.

Historycy mają względem Hozjusza specjalne obowiązki, bo to ich jakgdyby kolega zawodowy, wiadomo bowiem, że z zamiłowaniem uprawiał studja historyczne, do tego stopnia, że zamierzał nawet pisać replikę na osławione Centurje magdeburskie. Na szczególniejszą przytem uwagę historyków zasługuje sprawa narodowości Hozjusza. To, że miał w sobie krew niemiecką, że pracował nietylko dla Polski, jest pewne, ale jest pewnem także, że od dzieciństwa wzrastał w polskim obyczaju (imię Stanisław), kultura polska stała się podłożem jego dalszej działalności, Polsce zawdzięczał karjerę i swoje wyniesienie, jeśli zaś starał się być i był użyteczny dla innych, oprócz polskiego, narodów, to dlatego, że mu tak obowiązek katolika i wysokiego dostojnika kościelnego nakazywał. Całkowitego zato i w miarę możności ostatecznego wyświetlenia wymaga kwestja, jakim był prawny i uczuciowy stosunek jego ojca do przybranej ojczyzny polskiej, kim była jego matka, a zwłaszcza za kogo się uważał, względnie, jakie miał predylekcje narodowe i jak je manifestował sam Hozjusz.

Prócz prac ściśle naukowych konieczne będą i dzieła oraz artykuły popularne o Hozjuszu — zarówno dla inteligencji, jak i dla ludu. W tej dziedzinie wiele uczynić mogą czasopisma perjodyczne i dzienniki polskie. Sprawą popularyzacji imienia Hozjusza w tej lub innej formie zająć się winny zakony polskie, a zwłaszcza OO. Dominikanie i Jezuici. Pierwsi, bo Hozjusz z ducha dominikańskiego wyrósł i upodobał sobie dominikanów tak dalece, że był czas, kiedy myślał sam do ich zakonu wstąpić; drudzy zaś, bo ich do Polski sprowadził, był ich głównym promotorem u nas i zagranicą, jedną z nimi razem walkę przeciwko zalewającemu Europę protestantyzmowi staczał.

Zajęcie się bliższe Hozjuszem i jego działalnością w Polsce będzie miało ten jeszcze dobry i nader pożądany skutek, że popchnie na właściwą drogę studja nad protestantyzmem polskim. Dotychczas bowiem, niestety, uczeni nasi za przedmiot dochodzeń swoich brali głównie ruch nowatorski i osoby nowatorów, wszystko zaś, co przeciwstawiał nowatorstwu polski obóz katolicki, znajdowało zbyt mało uwzględnienia. Badano więc z nielicznemi wyjątkami przeważnie to, co

z katolickiego punktu widzenia nazwaćby można negatywną stroną reformy kościelnej, podczas gdy strona pozytywna zostawała na uboczu. Taki sposób postępowania, metodycznie wadliwy, siłą rzeczy wytworzył i nawet katolickim pisarzom wpoił pewną jednostronność sądów i opinji, które, zdaniem naszem, wymagać będą dość daleko idącej, gruntownej rewizji.

Kiedy mowa o pracach nad Hozjuszem, trzebaby też zwrócić uwagę na terminologję nowatorstwa. Nazywa się je powszechnie reformacją. Termin ten, wprowadzony przez protestantów: *Reformation* — na oznaczenie ruchu różnowierczego, *Gegenreformation* — na oznaczenie prawdziwej reformy kościelnej i w protestanckiem rozumieniu rzeczy właściwy, znalazł przyjęcie nawet w niektórych podręcznikach katolickich do historji Kościoła, bez względu na to, że jest w nich nonsensem i zadaje niejako kłam przekonaniom katolickim. Każdy zatem pisarz i uczony katolicki może i winien mówić tylko o różnowierstwie, protestantyzmie, pseudoreformie wreszcie, a później reformie trydenckiej, nigdy zaś o reformacji. Wyraz reformacja winien być usunięty ze słownictwa katolickiego.

Ks. Dr. Józef Umiński.

Lublin.

Z organizacji Zjazdu Katolickiego. Wzmagające się coraz bardziej przekonanie, że musi powstać niezwłoczna samoobrona społeczeństwa przeciw rozwijającemu się coraz widoczniej upadkowi moralności, wywołuje naturalny odruch skupienia się pod jednym sztandarem tych, którzy pragną oprzeć życie narodu na ideałach chrześcijańskich.

Odrodzenie Narodu Polskiego na gruncie katolickim jest hasłem Komitetu organizacyjnego obchodu rocznicy św. młodzianka wzoru i opiekuna młodzieży polskiej — Stanisława Kostki. Pragnąc, by obchód ten trwały ślad w życiu narodu zostawił, Komitet opracował program ogólnopolskiego Zjazdu Katolickiego w takim zakresie, by oświetliwszy wszelkie bóle i niedomagania naszego życia moralnego jednocześnie wskazał na drogi naprawy zła, opierając je na wskazaniach Kościoła Katolickiego.

Komitet Wykonawczy na zebraniu 15-go b. m. rozpatrzył projekty Komisji Finansowej i Artystycznej. Sprawozdanie Komisji Organizacyjnej wskazało, że osiągane jest porozumienie z djecezjami w sprawie organizacji Komitetów lokalnych. Przeprowadzane jest uzgodnienie planu uroczystości ku czci św. Stanisława Kostki w Przasnyszu z projektem wycieczki z Warszawy.

Skład Komitetu Wykonawczego powiększył się znów przez kooptację ks. prał. Popławskiego, Prezesa Tow. Kred. Ziemskiego p. Łuniewskiego, radcy p. Stefana Górskiego i prezesa Związku młodzieży wszechpolskiej p. Janusza Rabskiego.

Wobec ustąpienia prezesa Lubomirskiego wskutek jego niestałego przebywania w Warszawie ze stanowiska prezesa Komisji Finansowej—wybrano na przewodniczącego p. prof. Fiedorowicza.

Następne zebranie Komitetu Wykonawczego odbędzie się 6 maja r. b.

Prace Komitetu nad obchodem ku czci św. patrona polskiej młodzieży spotkały się z analogiczuem wystąpieniem zawiązanego w Rzymie Komitetu, którego list do J. E. Ks. Kardynała Kakowskiego załączamy poniżej.

Komitet Rzymski z powodu 200-ej rocznicy św. Stanisława Kostki. J. E. Ks. Kardynał Kakowski otrzymał z Rzymu następujący list:

Eminencjo!

Gdy w dniu 31 grudnia r. b. przypada dwuchsetna rocznica tego wielkiego dnia, w którym przesławna Polski chluba, Stanisław Kostka, uwieńczony został razem ze świętym Aloizym aureolą świętych, sądzimy, że sprawimy Eminencji i Episkopatowi całej Polski przyjemność, gdy prześlemy wiadomość, że ukonstytuował się w Rzymie Komitet celem oddania godnej czci serafickiemu młodzieńcowi.

Komitet ten, stworzony przy grobie ukochanego młodzianka, postara się, aby tegoroczne święto św. Stanisława, poprzedzone dziewięciodniowem nabożeństwem, obchodzone było w uroczysty sposób przez trzy dni; z końcem zaś roku, w sam dzień 31 grudnia, młodzież rzymska i młodzież, która z całego świata przybędzie do Rzymu na uroczystości Aloizjańskie, zgromadzi się u grobu św. Stanisława, ażeby w pielgrzymce swojej nie pominąć należnego hołdu godnemu towarzyszowi i bratu św. Aloizego.

Żeby rocznica ta nie skończyła się zewnętrznemi tylko uroczystościami, zamiarem Komitetu jest rzucić w lud podobizny i życiorysy św. Stanisława, ażeby cześć świętego młodzieńca rozszerzała się coraz bardziej.

Oto, co pragnęliśmy donieść Eminencji i Episkopatowi Polskiemu, by wywołać przeświadczenie, że ukochany Wasz współobywatel, którego Bóg wspaniałym darem darował Rzymowi, nie będzie w stolicy chrześcijaństwa pozbawiony należnego mu hołdu.

Przy tej sposobności winszujemy z głębi serca całej Polsce takiej chluby i chwały, jaką jest Stanisław Kostka i za jego pośrednictwem życzymy Wam i wszystkim tak wiernym Polakom wszelkiej pomyślności.

Rzym, 24 lutego 1926 r.

Jego Eminencji najoddańszy w Panu

(—) *C. Kardynał Laurenti*,
Prezes honorowy Komitetu.

K. Skirmunt,
Prezes Komitetu.

Stanisław Federici.
Sekretarz Komitetu.

Redaktor i wydawca **Antoni Chaciński**. Nakładem **M. Trippenbacha**.

Druk K. Kopytowski i S-ka, Warszawa, Nowy-Świat 47.